

# Irrehaare

Coś złego dzieje się z moimi oczami; niby widzę, ale jakoś tak dziwnie.

A oni stoją nade mną i kłócą się. Ten z bronią kopie mnie od czasu do czasu.

– A co, ja chciałem się w to pakować? Ja?

– Nie jazgocz, nie jazgocz. Może niedługo trzeba będzie zamknąć cały pion. I zrobisz to, bo ktoś to musi robić. I będziesz bardziej szanował swoich ludzi. Rozumiesz?

– Co mi tu, kurwa...

– Alex! Ilu zginęło, a? Ilu?

– Siedmiu...

– Z pełnego dwudziestoosobowego stanu grupy; sami weterani z Oz. Już i tak są lekko szajbnięci.

Chcesz dowodzić bandą świrów?

– Znalazł się taktyk, dowódca wielki; sam nas w to wpakowałeś, Allah by cię... A, do diabła.

– No i co go tak kopiesz, co tak kopiesz? Kto to w ogóle jest?

– Jakaś anomalia. Patrz, pociągnąłem go trzykrotnie, dla pewności. A on co? Oddycha, skubaniec.

Widzę tego drugiego, bez broni, jak pochyla się nade mną, kuca, przypatruje się mej piersi, poszarpanej krzywymi ściegami implozji, i mojej twarzy.

– Sądysz, że mnie widzi?

– A bo ja wiem? – Alex wzrusza ramionami. – Pewnie to jeszcze jedna sztuczka Samuraja. Przy jego współczynnikach...

Cywil milczy chwilę.

– Właduj mu cały magazynek między oczy – mówi wreszcie z wahaniem. – Zobaczymy co się stanie.

Coś złego dzieje się z moimi myślami; niby myślę, ale jakoś tak dziwnie. Niech ładuje – mamrocze sobie sennie. – niech ładuje mi między oczy, zobaczymy co się stanie.

Słyszę jakiś szcęk, jakiś syk – jakąś pieśń, jakieś krzyki, burze, sztormy, tornada, nawałnice. Może i ciszę. Nie wiem; świat ucieka ode mnie, coś złego dzieje się i z nim.

## 1. Palce: zabić litość

Lecieliśmy. Jeszcze nim uniosłem powieki, nim pozbyłem się z uszu tępego ucisku białej ciszy, poznałem to po drzeniu, jakie szło przez me ciało od zimnej podłogi; tak wibrować musiała cała maszyna. Dygotaliśmy w synchronicznych drgawkach – ona, ja i ci ludzie, których głosy powoli znów zaczynałem słyszeć.

– ...siedemnaście, powtarzam: siedemnaście...

– Na ósmej *Vultere'y*, w kluczu.

– Poszły podpociski.

– Trzymać się tam z tyłu, schodzimy w Bramę kamieniem!

– To te ich myśliwce bezzałogowe, co? Szlag by to...

– Powinniśmy mieć w tym pionie jakiś przyczółek, wszędzie indziej są blokady postępu, a tu dochodzą do Wonderlandu; jeszcze parę wieków postoiemy w miejscu i... O cholera...

– Kamikaze, jako Boga kocham!

– Ty, patrz, gość otwiera oczy.

Lecieliśmy. Rozpoznawałem dźwięki, przedmioty, twarze. To: hałas wirnika śmigłowca; to: wnętrze

jego kabiny; a to: ów cywil, który był mnie skazał na śmierć, co nie nastąpiła, w otoczeniu zmęczonych, umazanych krwią i popiołem żołnierzy. Leżałem nagi na podłodze, stąd wszystko wydawało się jakieś groteskowe, przerysowane, bez mała surrealistyczne, nawet nakierowana na mnie przez Chińczyka w porozrywanej kamizelce przeciwodłamkowej lufa kanciastej broni, jakby zrośniętej z jego przedramieniem – nawet połysk jej szorstkiej gładzi, złowieszcza precyzja zespolenia w ten fetysz zagłady metalowych i niemetalowych kantów, łuków i spęcznień – wszystko to jawiło mi się chorobliwym wynaturzeniem rzeczywistości. Gdy zechciałem unieść rękę, no i uniosłem, i zobaczyłem ją – i była to istotnie ręka, moja ręka – nieomal się zdziwiłem: oczekiwałem również skarykaturzenia siebie samego.

Cywil pożyczyl od ktoregoś z żołnierzy nóż, przydepnął mi dłoń, pochylił się i odgiął jej palec wskazujący. Śmigłowcem wciąż rzucało na wszystkie strony, gdyby nie pasy, cywil wyleciałby z siedzenia. Mnie pasami nie przypięto, toteż bez przerwy miało mną po podłodze. Żołnierze odkopywali mnie na środek. Próbowałem usiąść, czegoś się chwycić – ale skopywali w dół.

Cywil odgiął mi palec wskazujący oraz środkowy i naciąwszy serdeczny zatrzymał nóż.

– Kim jesteś? – spytał, gdy przestałem wyć; palce turlały się po szczerwieniałym metalu.

W odpowiedzi zacząłem wymiotować. Odgiął mi zatem i serdeczny, odgiął i mały, po czym schwycił kciuk. Ślizgałem się po stalowych płytach – to krew.

– Kim jesteś? – spytał powtórnie.

Powstrzymałem wymioty. Zebrałem oddech, lecz nie zdążyłem odpowiedzieć, bo helikopterem dziko szarpnęło w dół, cywilowi podskoczyła ręka i, mimo oporu kości, oderżnął mi również kciuk.

– Ciachnij mu jaja – poradził mrukliwie Murzyn, skupiony na walce z zatraskiem swych pasów.

– Ja... – zacząłem na wdechu.

– Tak? – cywil pochylił się.

Ten nóż.

– Ja... – No i chciałem mu odpowiedzieć, naprawdę chciałem, ale nagle zabrakło mi słów, język nie wiedział jakie zgłoski wyartykułować, zastopowało mnie w środku zdania, które miałem już w głowie prawie ułożone: zorientowałem się bowiem, że nie znam swego nazwiska. Nazwiska, imienia, wieku, przeszłości. Co więcej, nie znam i terażniejszości. Umysł począł generować kaskady pytań. Gdzie jestem? Co się dzieje? Kim są ci ludzie? Dlaczego nie pamiętam ich ani siebie?

Strach.

We własnej krwi. Jadłem, jadłem powietrze.

Cywil jeszcze bardziej pochylił się nade mną. Nóż. Palce.

Straciłem przytomność.

## 2. Brama

Bił mnie po twarzy, póki nie pękły mi wargi; ocknąłem się chwilę wcześniej.

Gorąco; słońce oślepia i przez róż zaciśniętych powiek. Leżę na czymś miękkim, coś miękkiego mnie okrywa. Płonie całe ciało, krzyczy każdy nerw, istnienie jest torturą.

– No weź się obudź, chłopie. Cholera, teraz nie ma czasu na omdlewanie.

To głos mego oprawcy.

Nie, nie otworzę oczu.

Kolebałem się w rytm turkotu i skrzypienia wozu. Suche powietrze przepalało mi gardło, w ustach nie miałem ani kropli śliny, język spuchł. Słyszałem odległe rozmowy, nawoływania. Nie wiedziałem ile czasu minęło od mego ocknięcia się w śmigłowcu, najwyraźniej dużo.

– Nie musisz symulować, wiem, że odzyskałeś przytomność. Za chwilę przejdziemy; postaraj się jej znowu nie stracić.

Dokąd, dokąd przejdziemy?

Uniosłem głowę, zacząłem się wygrzebywać spod okrycia; gdzieś tak w połowie tych czynności mimowolnie otworzyłem oczy. Step, pustynia. Powietrze szybko falujące nad horyzontem. Nie jedno, a cztery bliźniacze słońca płonące jaskrawo na seledynowym nieboskłonie. Nasza karawana mijają właśnie zagajnik rachitycznych kaktusów – w każdym razie roślin podobnych do kaktusów. Karawana: dwa wozy ciągnięte przez muły, kilkunastu zakutanych w podniszczone czarne *galabijje* jeźdźców; uzbrojeni w drewniane, długolufe strzelby, bułaty i złowieszczo zakrzywione noże otaczali nas szczelnym kordonem. Bez przerwy okręcali się w kulbakach i wypatrywali czegoś z tyłu. W pierwszym wozie, kilka metrów przede mną, podrygiwały bezwładnie na wybojach trzy ciała: ranni tak ciężko, że aż nieprzytomni, bądź po prostu trupy. W wozie drugim, prócz mnie, znajdował się tylko mój kat, cywil, który i teraz pozostawał jedynym nieuzbrojonym człowiekiem. W odróżnieniu od eskorty odziany był bogato i kolorowo, ciemne jego włosy krył biały turban. Może i bym go nie rozpoznał, jeślibym usłyszał jego głos wpierw otworzywszy oczy.

Jakieś sępopodobne stworzenie unosiło się wysoko nad nami.

– Tak, tak, mnie też on niepokoi – odezwał się oprawca podążając za moim spojrzeniem. – Jeśli Samuraj przełamał i tę zasadę... Ciężko będzie.

Całe ciało mnie paliło. Podniósłszy spod koca prawą rękę ujrzałem krwawą pozostałość mej dłoni – ból, którym promieniowała, nie był ani odrobinę silniejszy od tego jednostajnego cierpienia, w jakim pogrążony był cały organizm.

Ciemnowłosy opuścił wzrok, zerknął gdzieś w przód.

– Jeszcze parę minut – mruknął.

Do czego? – chciałem spytać. Parę minut – i co, co się stanie? Ale nie spytałem, zaschnął mi również głos. Zacharzałem tylko.

– Sorry za to w śmigłowcu – wymamrotał, zapatrzony w coś za mną. – Rozumiesz, jesteś nieidentyfikowalny.

Nie rozumiałem.

W przodzie wybuchło jakieś zamieszanie. Ktoś coś wołał, na coś wskazywał uniesioną strzelbą. Podjechało ku niemu dwóch kolejnych jeźdźców, w jednym z nich, gdy się obrócił, rozpoznałem Alexa. Wozy zwolniły. Eskorta rozciągnęła się w długi wąż.

Ciemnowłosy szybko rozejrzał się dookoła.

– Zaraz wchodzimy – powiedział wskazując brodą przed siebie, gdzie ja widziałem tylko ciemno spieczoną równinę stepu.

Pomruczał coś pod nosem, zanucił, pogrzebał za szeroką szkarłatną szarfą, którą był przepasany, i wyciągnął zzań małą białą pałeczkę. Uniósł ją ku niebu, celując w to coś, co wytrwale szybowało nad nami.

– Jeszcze by tylko tego brakowało, żeby ta pokraka przeszła za nami przez drugą Bramę – mruknął.

Podciągnąłem się i spróbowałem usiąść. Zabrakło mi do podparcia prawej ręki – w końcu i tak oparłem się na tym kikucie dłoni, ból nie mógł być już większy. Wstrząsały mną od niego szybkie dreszcze, serce biło w samobójczym sprincie, wzrok się mglił. Lecz byłem pewien tego, co zobaczyłem: ptak zniknął. Nie rozplynął się, nie rozmył, nie wtopił w tło – zniknął.

Mag opuścił pałeczkę.

– Skurwysyn – sapnął i schował ją do rękawa.

Jakiś ruch na skraju pola widzenia. Obróciłem głowę.

Alex wraz z dwoma innymi jeźdźcami – dematerializowali się.

Ich dematerializacja nie miała nic wspólnego z momentalnym zniknięciem sępa. Właściwie to wcale nie była dematerializacja, raczej zasysanie, rozwinięcie splotu rzeczywistości. Najpierw spostrzegłem u nich dziwne złagodzenie konturów: wygładziły się wszystkie kąty ostre i nagle załamania zarysów ich postaci. Barwy stały się mdłe, wyblakłe; jeźdźcy i konie spłaszczyli się, zgubił się im gdzieś trzeci wymiar, perspektywa zwinęła. Potem kolory, już spatynowane, zaczęły z nich spelzać – początkowo tworzyły tylko strzępiaste, wełniste aury, później aury te ściągnęły się, zawirowały i wypłynęły naprzód, jakby zwał je jakiś wiatr. Zatem musiał być to magiczny wir powietrzny – tam, przed nami; miękkie smugi bladych barw niknęły w nim, niby zasysane mocą ciśnienia bądź grawitacji, niknęły w moich oczach: pozerął je jakiś niewidzialny potwór. Jego paszcza znajdowała się nieco na lewo od Alexa, jakieś cztery metry nad ziemią. Proces przyspieszał. Jeźdźcy i zwierzęta, rozbici na pasma światła o różnych długościach fali, wjeżdżali, niczym po tęczy, po własnych zassanych kolorach w ową Bramę, której, zdaje się, tylko ja jeden nie byłem w stanie zobaczyć. Prucie przechodzących przez nią postępowało od brzegów sylwetek ku ich środkom; Alex, znalazłszy się prawie pod paszczą, był już tylko niekształtną małą czarną plamą materiału z pleców swej *galabijji* – jeszcze krok nieistniejącego ogiera i spłynęła czarnym łukiem i ona. Towarzysze Alexa przeszli przez Bramę chwilę potem; zniknęły ich tęcze, zniknęli oni sami.

Byłem pewien, że wszystko to trwało co najmniej pięć minut, lecz obejrzawszy się na odcinek drogi, jaki w tym czasie przebył wóz, zmniejszyłem ów czas do kilkudziesięciu sekund.

Dematerializowali się kolejni jeźdźcy. Zauważyłem, że tuż przed wjechaniem w obszar przejścia poganiają swe konie do kłusu – może chcą szybciej mieć to za sobą, a może zabezpieczają się w ten sposób przed niespodziewanym zbczeniem z drogi przez wystraszone zwierzęta. Czy to jest bolesne? A przede wszystkim – czy nie jest to w istocie Brama do śmierci?

Nie miałem sił dłużej utrzymać się w pozycji siedzącej, załamały się pode mną ręce i zwałem się w tył. W ostatniej chwili w mych źrenicach odbił się obraz pierwszego wozu. Już leżąc zastanawiałem się nad tym kolejnym cudem lub kolejną iluzją: na wozie brakowało trzeciego ciała.

Gdyby ktokolwiek je ściągnął bądź gdyby zmartwychwstała samo zeszło na ziemię, musiałbym to zauważyć. A nawet pierwszy wóz znajdował się jeszcze stanowczo za daleko, by dosięgła go moc kolorystycznego wiru.

Nie, lepiej nie zwracać uwagi na świat.

Dyszałem ciężko, ból i przerażenie wiązały mi oddech w piersi.

– Spokojnie – zamruczał mag.

Turkotały koła wzbijając z piaszczystej powierzchni traktu brunatne obłoki duszącego, miążskiego pyłu.

Podjechaliśmy do Bramy tak blisko, że bez unoszenia głowy widziałem tęczę pierwszego wozu.

Po chwili zgasła.

Teraz nasza kolej, myślałem w panice. Dlaczego się tak boję, to nie może być nic strasznego, dla nich to zwyczajna rzecz, tylko ja, tylko ja jestem przerażony; co się dzieje, gdzie jestem, kim jestem, dlaczego on mi poobcinał palce, nic nie rozumiem, może oszalałem, o Boże, już wjeżdżamy...

Tęcza połknęła mnie i wypłuła w wilgotny półmrok jaskini.

To nie była jaskinia. Wóz nie był wozem. Mag nie był magiem. Sam sobą nie byłem. Nic mnie nie bolało. Nic mi się nie myślało.

Wielkie wrota w jasność.

Ciemnowłosa uniósł rękę i dotknął mego rozpalonego czoła.

– Śpij. – powiedział cicho.

Zasnąłem.

### 3. Strach

Mięso młodego karibu – tylko ono tak pachnie.

Jakież ja byłem głodny! Kwadrans nie minął, a pożarłem cały udziec. Dopiero potem, nie wiadomo gdzie wyklute, wychynęło podejrzenie, czy aby nie zatruto tego mięsa. Dlaczego miano by je zatruc? To proste, tę jedną zasadę zdążyłem już poznać – by sprawić mi ból.

Choć i prawo cierpienia nie było dla mnie całkowicie jasne. Posiadało ono drugą stronę, której nie rozumiałem. Odrosły mi przecież palce. Nie pozostał ani ślad po bliznach. Ocknąwszy się rześkim rankiem przy tym ognisku, zjadłszy ów podpiekający się wolno udziec, wykąpawszy się w strumieniu – czułem się jak nowo narodzony. Horror minionego dnia zbladł w mej pamięci, niczym ubrania przechodzących przez Bramę. Zwątpiłem w prawo.

Wspiąłem się na szczyt wzgórza, na którego łagodnym południowym stoku się obudziłem. Chłodny wiatr rozwał mi włosy. Mimo bezchmurnego błękitnego nieba i już wysoko stojącego, jedynego widocznego słońca nie panował bynajmniej upał; to nie pustynia. Będę musiał się rozejrzeć za jakimś ubraniem, pomyślałem.

Z tego wzgórza widziałem całą dolinę. Aż po ostre granie przełęczy pokrywała ją puszcza, zbita, ciemna, duszna samą gęstością zielonego kozucha. Polana, na której się znajdowałem, stanowiła jedyną dziurę w sfalowanej powierzchni dzikiego gąszczu.

Po przeciwnej niż strumień stronie pagórka wznosiły się wieże. Było ich sześć; stały w heksagonalnym porządku, zanurzone w wilgotnym cieniu, tak miłym dla kamieni, z jakich je zbudowano, oddzielone od puszczy kilkudziesięciometrowym pasem niskich zarośli. Wieże, choć znacznie różniły się rozmiarami, zachowały jednolite proporcje, i owym nienaturalnym proporcjom zawdzięczały – szczególnie większe – tępą, masywną przysadzistość, upodabniającą je do średniowiecznych donżonów. Podeszedłem ku nim wolno. Dotknąłem kamiennych murów. Promieniowały katedralnym chłodem. Pociły się zimno; były mokre. Po kostki zapadałem się w rozmokłej ziemi. Wieże stały w bagnie. Obszedłem je po szerokim okręgu. Każda posiadała dwie symetrycznie umieszczone bramy, jedną skierowaną do wewnątrz heksagonu, drugą na zewnątrz; były to potężne, grubo kute żelazne wrota, szczelnie zamknięte, lodowato mroźne w dotyku.

Dwieście, trzysta lat, ocenilem. Zabytek. Do czego te wieże mogły służyć? Brakuje blanków, brakuje okien, szczelin dla łuczników. Dziwne.

Wszystko jest dziwne, obce przyrównaniem do zapomnianej normalności, świat jest dziwny, ja jestem dziwny.

Wróciwszy do przygasającego wolno ogniska zastałem przy nim Indianina. Długie, przetłuszczone, czarne włosy, legginy z brązowej skóry, mokasyny, amulety, smród. Potem się odwrócił i rozpoznałem mego kata; jego metamorfoza nie ograniczyła się do ubioru – twarz mu schudła, cera ściemniała, pokazały się kości policzkowe, nos zwęził, włosy wydłużyły.

Uśmiechnął się do mnie, kilkoma kopnięciami zasypał ognisko i przysiadł na ziemi.

W tej chwili nie wiedziałem czy mam się rzucić nań z kamieniem, uciec w las, czy też podobnie usiąść spokojnie nad strumieniem. A może zacząć wyć egzorcyzmy. A może oszaleć.

We śnie przecież nie czułbym oślizgłego dotyku nóg robaka wspinającego się po mej łydce.

– Porozmawiajmy – powiedział Indianin.

Bałem się odezwać.

– Porozmawiajmy – powtórzył. – To w tym celu wysłał cię Samuraj, prawda? Żeby porozmawiać.

Usiadłem z dala odeń; i tak znajdowałem się wyżej, z uwagi na pochyłość stoku.

– Kim jesteś? – spytałem, ponieważśmieszając sobie sprawę, iż są to te same słowa, którymi on przyozdabiał tortury w śmigłowcu. Przepęłniała mnie gorzka pewność popełnionego błędu. Błędem

będzie cokolwiek powiem; tylko przypadkiem mógłbym wygrać w grze, której zasad nie znam.

– Mogłeś o mnie słyszeć jako o Czarnym Santanie.

– Nie... nie słyszałem.

Trochę to go zdziwiło.

– Cóż. Niemniej to mną będziesz musiał się zadowolić. Zobaczymy co z tych rozmów wyjdzie – znowu się uśmiechnął. – Prawda jest taka, że nikomu innemu nie przyszło to do głowy; chcieli cię gdzieś zablokować. Ale Samuraj to przebiegła bestia, ty zresztą wiesz o tym najlepiej.

Spojrzałem nań tępo.

– Nie wiem – mruknąłem. – Nie wiem. Nic nie wiem.

– Taa.

– Ja nie wiem nawet kim sam jestem! – wybuchnąłem irracjonalnie rozżalony. – Możesz mi odciąć wszystkie palce – nie znam swego imienia! Niczego, niczego – Boże, niczego nie pamiętam! Co się ze mną dzieje, dlaczego... – zdusiłem krzyk, zdeprimowany wyczekującym milczeniem Santany. Odwróciłem głowę. Do pewnego stopnia ten mój wybuch był wyreżyserowany, chciałem machnąć na wszystko ręką, zrzucić z siebie odpowiedzialność – jak teraz mnie zabije, to tym lepiej. Desperaci to po prostu ludzie wystraszeni śmiertelnie.

Santana długo, bardzo długo trawił me słowa. Rysował coś palcem w popiele, spoglądał w niebo, unosił brwi.

– Obserwowałem cię – rzekł w końcu. – Płakałeś jedząc. Wieżom przypatrywałeś się, jakbyś widział je pierwszy raz w życiu. Boisz się mnie.

Bąłem się go.

– Ale to wszystko może być przykrywką – zerknął na mnie pytająco. – Z drugiej strony, jesteś tak oryginalnym przypadkiem, że nie mogę niczego wykluczyć. A więc nic nie pamiętasz, tak?

– Pamiętam, że ktoś strzelał do mnie. Potem ty kazałeś mnie dobić.

Przytaknął.

– A wcześniej – nic – dodałem.

– To był atak na placówkę Samuraja w wojennym Kongo z pionu Czerwonego. Wyszedłeś tam goły pod nasze lufy. Powinieneś zginąć. Nie zginąłeś. To mnie zaciekawiło. Zabrałem cię. Z głupia frant; chciałem cię potem wyrzucić z helikoptera. Jakoś tak wyszło, że nie zdążyłem. Sam nie wiem. A ty, nieprzytomny, przeszedłeś przez Bramę. Alex twierdzi, że jesteś szpiegiem nowej generacji, że to Samuraj tak cię przenicował – na nieidentyfikowalnego, na atrapę. I jestem nawet skłonny przyznać mu rację.

– Ja nie rozumiem o czym ty mówisz – wymamrotałem.

– Istnieje jeszcze trzecia możliwość – powiedział Santana. – Nurek; jesteś nurkiem. Albo i wampirem wynajętym przez Wonderland. Lub rządowym etatowcem. Lub wszczepionym zwrotnie, choć po prawdzie nie wiem co takie ryzyko miałoby dać; nikt nie wie. Sama w sobie żadna z tych możliwości nie wyklucza amnezji.

– Nie rozumiem.

– Przecież całej pamięci ci nie wyczyściło. Nie wiesz kto to jest nurek?

– Noo, taki, co z akwalungiem...

Zaśmiał się. – A wampir to zębaty krwio pijca arystokratycznego pochodzenia o skórze wrażliwej na ultrafiolet? Bez przesady. A samochód? Samolot? Yarle? Syjonik?

Nie wiedziałem tylko co to syjonik; zamiast wytłumaczyć, ponownie wybuchnął śmiechem. – No naprawdę pojęcia nie mam co o tobie myśleć!

I tak był w lepszej sytuacji, ja nie wiedziałem, co myśleć o własnych myślach.

– Więc twierdzisz, że nic nie pamiętasz. Bezsensem zatem byłoby pytanie cię dlaczego jesteś

nieidentyfikowalny i nieśmiertelny, prawda? Sprytne. A odróżniać przynajmniej ludzi?

– Jak to...?

– Możesz poznać, że jesteś człowiekiem?

– Nie jestem ślepy.

Westchnął. – Przymknij któreś oko – pouczył mnie cierpliwie.

Przymknąłem lewe.

– I co? – naciskał. – Odróżniasz?

– Nie rozumiem. – Mnie samego już irytowało powtarzanie tej kwestii. – Widzę wszystko tak samo.

Patrzył na mnie podejrzliwie. Nie uwierzył mi chyba.

– Irrehaare, idioto, Irrehaare. Co? Tego też nie wiemy?

Nie odezwałem się. Santana zaczął się denerwować.

– Nie powiesz mi chyba, że nie pamiętasz nawet momentu wślepiania?

– Czego? – spytałem słabo.

Wzrok mu się sposepnął, twarz sponurzyła. Wstał, cisnął ku puszczy jakimś polanem. Sam także się poderwałem, asekurancko cofnąłem o parę kroków. Spojrzył na mnie gniewnie, niemal oskarżająco.

– Znaczy – co? – warknął. – Dla ciebie to jest prawdziwy świat? Wydaje ci się, że naprawdę jesteś tym, kim siebie widzisz?

Musiał odczytać w moich oczach rozpacz; powściągnął swą wściekłość, zamilkł.

– Santana? – szepnąłem.

Dosłyszał.

– Mhm?

– Gdzie ja jestem?

## 4. Irrehaare

No i powiedział mi.

– Wiesz co to wszczepka?

– Oczywiście – przytaknąłem; każde słowo otwierało w mej głowie kolejne drzwi. – Implant mózgowy wpisujący i odczytujący impulsy bezpośrednio w nerwy na korze, sprzężony zdalnie z systemem komputerowym wielofunkcyjny, powszechnie używany z racji...

– Nie musisz recytować całych definicji – przerwał zirytowany.

– Mówię i przypominam sobie – tłumaczyłem się. – Nie pamiętam przecież, co zapomniałem.

Prowadził mnie przez cienistą, parną puszcę ścieżką widoczną tylko dla niego. Kluczyliśmy piaszczystymi jarami, korytami płytkich potoków, naturalnymi przesiekami w dzikim gąszczu. Słyszałem głosy zwierząt, kątem oka postrzegałem ich ostrożne przemykanie, zawsze za grubą zasłoną zieleni.

– Musisz zatem wiedzieć, iż wszczepka jest również wykorzystywana do wślepnego relaksu: blokada wszystkich zmysłów i budowanie, według algorytmów wpisanych do Allaha, sztucznych kompleksów bodźców kreujących nową rzeczywistość. Co? – nigdy nie słyszałeś o nałogowcach, uzależnionych, ślepakach, co nie mogą już żyć poza wymyślonymi przez programistów światami, o całych dzielnicach zajętych przez leżące bez świadomości półtrupcy, o nielegalnych prywatnych klinikach podtrzymujących ich przy życiu, o wampirach sadystycznie niszczących im od wewnątrz te światy, o...

– Pamiętam, pamiętam! – Dziesiątki drzwi otwierały się jedne za drugimi, wracała znajomość terażniejszości; lecz przeszłość, moja przeszłość, wciąż pozostawała tajemnicą. – Znam słowa. Nie wiem skąd, gdzie je usłyszałem, gdzie i kiedy się tego wszystkiego dowiedziałem. Ale słowa znam. Słowa.

Santana posłał mi przez ramię kose spojrzenie.

– Żeby było jasne: ja uważam, że kłamiesz.

Zabolało mnie to, chociaż nie powinno.

– Nic na to nie poradzę – mruknął. Nadal obracały mi się w myśli obrazy mych obciętych palców turlających się w gęstej krwi po metalowej podłodze śmigłowca. Ciało to świętość.

– Firma *software'owa* Irrehaare, jedna ze spółek Itsui – podjął Santana. – zmonopolizowała rynek oprogramowania relaksacyjnego dla Allaha; to są biliony. Ze świecą by przecież szukać człowieka, który choćby raz tego nie spróbował: usiąść w fotelu i przenieść się w środek dżungli na wyprawę z doktorem Livingstone, przez pięć minut przerwy w pracy spędzić noc z najpiękniejszą kobietą świata. W taki właśnie sposób tu trafiliśmy. Byliśmy na dłuższym czy krótszym zaślepie w fantasmagorycznych krainach Irrehaare, gdy Allahowi coś trzasnęło w programie. Nie możemy się stąd wydostać, odzyskać świadomości, wyjść z zaślepu. Jemu wszystko się pomieszało. Potworzyły mu się przejścia pomiędzy różnymi wizjami, szaleją po nich jakieś wirusy, sam Allah zaś wszedł w rolę przeznaczenia, losu, fatum, Boga. Jesteśmy uwięzieni we własnych sterowanych komputerowo myślach.

Rozumiałem jego słowa, ale nie pojmowałem ich znaczenia.

– Jak to – uwięzieni w myślach? To znaczy...

Zatrzymał się.

– Gdzie naprawdę jesteś – to tylko ty wiesz, powiedzieć ci tego nie potrafię; najpewniej leżysz w łóżku u siebie w domu, w Pekinie, Bejrucie, Johannesburgu, Atlancie, czy Moskwie. Nie powiem ci też jak naprawdę wyglądasz; prawdę mówiąc, sam niemal zapomniałem własnego wyglądu. To ciało, które – przez które – czuję, to tylko wybrana przez mnie do gry postać, z której teraz nie potrafię się wyzwolić. Niewiele mogę ci powiedzieć; rzeczywistość światów Irrehaare jest z założenia nieweryfikowalna od wewnątrz. Wyjąwszy pamięć, rzecz jasna.

– I ile czasu już to trwa?

– A skąd ja mogę wiedzieć? Również czas jest rzeczą względną. Zresztą nie tylko w pionach – także w poszczególnych światach płynie on inaczej. Tutaj – a jest to Kanada sprzed najazdu białych – minęło od zamknięcia około czterysta lat. W rzeczywistości może to trwać tydzień. Dlatego sądziłem, że jesteś nurkiem, pora byłaby najwyższa, żeby wysłali kogoś, kto by to odkręcił. Po zamknięciu nikt nowy nie wszedł już w zaślep. Ty byłbyś pierwszy.

– Kto to jest Samuraj?

Santana z westchnieniem oparł się o drzewo; widziałem grubego jak moje ramię szarego węża wijącego się leniwie na jego konarze.

– Część z nas przypuszcza, że to wszystko to właśnie jego wina: pokopało się równo z jego wejściem. Musiał użyć jakichś hackerskich programów. Sformował dla siebie postać nie przewidzianą przez algorytmy Irrehaare, niewątpliwie złamał setki zasad, wybrał sobie z rejestrów same najwyższe współczynniki. To kopnięty facet, jakiś niewyżyty dzielnicowy Stalin, co zamarzył sobie imperium w elektronicznym śnie, bo nie był na tyle inteligentny, by zbudować je na jawie. Ale, na dobrą sprawę, nikt nie ma pojęcia jakim cudem czegoś takiego dokonał; musi to być jakiś megatrack...

– Prowadzicie z nim wojnę?

Czarny skrzywił się. – Teoretycznie jest rozejm. Samuraj opanował kilkanaście pełnych pionów. Pomijając już podległych mu graczy, posiada on w każdym z podbitych światów całe armie atrapowych wojowników, wszędzie tam jest władcą absolutnym, Shogunem, Imperatorem, Prezydentem, Napoleonem, Karolem Wielkim, Czyngis-chanem, czym chcesz. Nie odwracaj się.

## 5. Śmierć w Irrehaare

Byli to Indianie ze szczepu, który uważał Santanę za jakiegoś wielkiego szamana; trudno, żeby myśleli inaczej o człowieku, który – wciąż w tej samej postaci, nie starzejący się – odwiedza ich od wieków co kilkanaście lat, czyni cuda i nie sposób go do końca zabić. Nieruchome twarze, ciemne włosy zebrane w drapieżne czuby, szczupłe, umięśnione ciała. Otoczyli nas, gdy tak w najlepsze gawędziliśmy sobie w sercu dzikiej puszczy. Strzały na cięciwach i wzniesione włócznie – wymierzone były głównie we mnie. Santana zajazgotał coś ostro po ichniemu. Opuścili broń.

W wiosce – śmierzącym pod niebiosą śródleśnym zgrupowaniu kopulastych wigwamów – powitano nas w myśl jakiegoś niezrozumiałego, nudnego rytuału, w trakcie którego zmuszeni zostaliśmy do spożycia gorącego, ociekającego tłuszczem psiego mięsa i umalowania się gęstymi farbami w zwierzęce wzory. Santana odtńczył dodatkowo skomplikowany taniec i wygłosił śpiewną przemowę. Potem przez całą noc uzdrawiał chorych, błogosławił zmarłych i nienarodzonych oraz patronował obrzędowi inicjacji młodzieńców.

O świcie odплыliśmy wyłudzonym przez niego *canoe*. Santana zdobył również – w formie daru od kurdupłowatego jednookiego wodza – ubranie dla mnie i broń: wielki łuk wraz z kołczanem pełnym strzał, noże, toporek. Wszystkie groty i ostrza wykonano z brązu. Ponieważ byłem pewien – jeśli w ogóle czegokolwiek mogłem być pewien – iż nigdy w życiu nie miałem w ręku łuku, a i wątpilem również w swą umiejętność ciskania nożami i siekierami, nie próbowałem nawet pozować na wojownika; Santana był mym przewodnikiem, protektorem, jedynym sędzią i jedynym przyjacielem i wrogiem, całkowicie byłem odeń uzależniony. Pozbawiony pamięci znajdowałem się nawet w gorszej sytuacji, niż niemowlę, bo i wyglądu dziecka nie miałem.

Płynęliśmy do położonego nad brzegiem Atlantyku heksagonu Bram, skąd mieliśmy rozpocząć rajd przez późne światy do osi pionu opanowanego przez przeciwników Samuraja – do ich podziemnego miasta położonego kilometr pod powierzchnią Merkurego, po jego ciemnej stronie. Był to jeden z nielicznych pionów o profilu historycznym względnie bliskim współczesności – twierdził Czarny – który nie został zdobyty przez Samuraja; Imperator władał bowiem w niemal wszystkich późnych i futurologicznych pionach, gdzie zniesione zostały blokady postępu i gdzie mógł sięgać obszarów nie przewidzianych w programie Allaha.

Coraz szerszymi strumieniami spłynęliśmy do rzeki. Wraz z jej nurtem skręciliśmy na wschód; był wrzesień, może październik, ciepłymi wieczorami rozpełzł nad horyzontem w czerwoną lunę słońce malowało przed nami rzekę pastelowym różem, cięliśmy cicho jego gładką taflę, las nad nami szumił sennie, woda pachniała młodością i bezczasem. Widziałem piaszczyste dno, widziałem pomykające nad nim srebrno-zielone ciała ryb. Santana łowił je gołymi rękoma, przez nagłe uchwycenie za skrzela i wyrzucenie na brzeg.

– To bardzo szybki świat, często tu odpoczywam – tłumaczył na jednym z postojów, na trzciniowej wyspie, swe umiejętności i znajomość miejscowych realiów. – Po ostatniej śmierci mieszkałem tu kilkadziesiąt lat.

– Ostatniej śmierci...?

– A co ty myślisz? I przez śmierć nie wyzwolisz się spod władzy Allaha. Twoje „ciało” znika – i po prostu zmartwychwstajesz w miejscu startu swej postaci, cały i zdrowy, z pełnym przewidzianym przez scenariusz gry początkowym ekwipunkiem.

– Nie musicie się więc...

– ...bać? – Santana posunął polano ku środkowi ogniska i uśmiechnął się sarkastycznie. – Po pierwsze: nie jesteś w stanie zmienić swojego miejsca startowego. Jest ono przypisane postaci, którą wchodząc w zaślep wybrałeś, i nawet Samuraj nie może zmanipulować tej reguły. Zresztą i tak nie

zrobiłby tego, dla niego jest ona korzystna: opanował przecież większość światów i wielu jego zmarłych wrogów, odradzając się, wraca do życia na jego terytorium, a ciężko się z niego wydostać. Wiem, bo sam jestem przypisany do świątyni Akuby w Hasthem w pionie *Fantasy One*. Cudem uniknąłem schwywania; Wielki Labirynt podziemi twierdzy Samuraja w Algonthoth pełen jest graczy, którzy, nie mogąc popełnić samobójstwa, nie mogąc nawet umrzeć z głodu czy przez połknięcie języka, cierpią przez wieki straszliwe męki, z rąk stworzonych przez niego zwierzęcych oprawców. Po drugie: nawet jeśli masz szczęście zmartwychwstawać w wolnym świecie, śmierć nie jest wcale samą przyjemnością. Nie wiem jakim cudem dostał się on do programu Allaha, w każdym razie tam jest – jej algorytm. Co może wiedzieć o śmierci komputer? Okazuje się, że wszystko. Umierając, odczuwasz to tak samo realnie jak smak tej ryby. W tym ułamku sekundy pomiędzy zniknięciem a pojawieniem się na nowo w miejscu startu – w tym ułamku sekundy zamknięty jest cały wszechświat. Nie wiem jak to opisać. Ty go pożerasz. Asymilujesz. To narkotyczna osmoza każdego bitu informacji z pamięci Allaha do twego umysłu. Ale jeszcze straszniejszy jest ten moment... ten moment jak cięcie mieczem – w którym przerwana zostaje pętla łącząca cię z systemem; to jest śmierć prawdziwa, najprawdziwsza z prawdziwych, w każdym razie taką się nam wydaje. I rodzisz się krzyżąc, rodzisz się szalony. To z czasem mija, wracasz do siebie, odzyskujesz powoli równowagę psychiczną. Lecz za każdym razem jest coraz gorzej. Efekt się kumuluje. Ja umierałem czterokrotnie. To, jak na teraz, przeciętna ilość śmierci. Choć na przykład Samuraj nie umarł jeszcze ani razu. Ludzie, którzy ginęli dziesięcio-, piętnastokrotnie – to już żywe trupy. Opętani. Zresztą nie ma normy. Szczególnie wrażliwi nie wytrzymują już pierwszej śmierci. A znam takiego Conana, co zdychał dwadzieścia parę razy, ale jego to nie rusza, to tępak absolutny. Ja, mówiłem ci, po czwartej śmierci musiałem musiałem tu odpoczywać z trzydzieści lat; to spokojny świat. Co ważniejsze, czas biegnie tu bardzo szybko, nawet po półwieczu spędzonym w tych lasach nie jestem wcale tak bardzo do tyłu względem reszty.

Tak, bywały takie dni, kiedy Santana niemal nie pytany zaczynał tłumaczyć niezrozumiałe dla mnie współzależności implikacji istnienia Irrehaare w jego aktualnym stanie, były to jednak tłumaczenia dziwnie mętne i poplątane, Santana często je urywał, po czym wyczekiwał mej reakcji – pojąłem, iż w ten sposób przeprowadza na mnie testy, zapewne nie mógł się po prostu powstrzymać. Lecz zwykle milczał lub zbywał krótko me co bardziej szczegółowe pytania, jakby w obawie wyjawienia jakiejś tajemnicy.

Efekt tej przedziwnej taktyki Czarnego był taki, iż, mimo spędzenia razem w leśnej głuszy kilku miesięcy, nie zdołałem z niego wyciągnąć więcej jak parę odpowiedzi na bardzo ogólne pytania i setki wymijających odmruknięć i zamamrotań, którymi z trudem zamykał sobie usta, lubił bowiem Santana mówić.

Wciąż utrzymywał, że mi nie wierzy i nie szczędził kąśliwych uwag co do mej rzekomej amnezji – lecz widziałem po jego spojrzeniach i gestach, iż nie ma mnie już za szpiega, nie uważa za groźnego. Uparł się, żeby nadać mi jakieś imię. Prócz Santany, Alexa i Conana nie pamiętałem żadnych, póki nie zaczął ich wymieniać w alfabetycznym ciągu – wtedy każde wydało mi się tak samo znajome. W końcu wylosowałem w myślach: Adrian. Sądziłem, że to go zadowoli. Ale on jął się w etymologii owego imienia doszukiwać ukrytych motywów mego rzekomego wyboru. Santana był inteligentny i przebiegły. Do tego stopnia, że czasami sprawiał wrażenie kretyna.

## 6. Na granicy

Pod wzgórze nadatlantyckiego heksagonu dotarliśmy z początkiem zimy.

Szczyty kamiennych wież dostrzegłem już z zakrętu rzeki. Porzuciliśmy *canoe* na jej brzegu – do

Bram wspięliśmy się z pustymi rękoma, jeśli nie liczyć zatkniętych za pas noży.

– Nie przywiązuj się do przedmiotów – pouczył był mnie raz pewnego Santana. – Tracisz je przy każdym przejściu. Nawet twoje ciało ulega drobnym przemianom, dla dostosowania się do nowych realiów. Te metamorfozy bywają korzystne, ale zwykle wywierają negatywny wpływ na psychikę podróżującego, tyczy się to zwłaszcza kobiet.

I tutaj, choć wieże zajmowały wierzchołek wzniesienia (co wydało mi się rozwiązaniem niepraktycznym z inżynierskiego punktu widzenia, ale widocznie ich budowniczowie patrzyli na to w inny sposób) grunt był podmokły. Santana, grzęznąc w nim ciężko, podszedł do jednej z mniejszych, zatrzymał się przy zewnętrznych wrotach i zaczął czymś przy nich manipulować. Po chwili rozległ się głęboki szum. Santana spuszczał wodę, jaką wypełnione są wieże granicznych światów dominium wrogów Samuraja – tak zabezpieczają się oni przed niespodziewanymi ingerencjami: nie można przejść przez Bramę, jeśli cokolwiek ją blokuje. W tym akurat wypadku wieża kryła Bramę prowadzącą ku centrum pionu, zasada pozostawała jednak zasadą. Istniały trzy wolne, ściśle kontrolowane przejścia ze światów pogranicznych, którymi mogli powracać zmarli – chociaż, jak sądził Czarny, także planowano je zamknąć.

Szum ucichł. Santana odczekał jeszcze parę minut, po czym odciągnął lewe skrzydło wrót. Pojęcia nie miałem jak on je otworzył, nie dostrzegłem w nich żadnego zamka, otworu na klucz (zresztą nie widziałem u Santany jakiegokolwiek klucza), zapadki czy szczeliny dla podważenia antaby – tam nie ma szczelin, wieże są hermetyczne.

Z wnętrza powiało jaskiniowym chłodem i wilgocią; uderzyło mnie wspomnienie podobnego wrażenia sprzed dwóch miesięcy. Weszliśmy do środka. Santana szarpnął wrota, zamykając je z powrotem; coś trzasnęło, coś szczęknęło, zapadła ciemność. Znowu usłyszałem ten szum. Był bardzo głośny, drżała w jego szybkim rytmie podłoga, drżały ściany. Woda. Sięgnęła mi kostek i pięła się wyżej. Santana złapał mnie za ramię i pociągnął w przód. On widział Bramę, ja nie. Brodziliśmy we wzbierającej kipieli. W tej ciemności i tęcza przejścia nie mogła być widoczna. Wraz z wodą zaczął wzbierać we mnie strach – strach przed powolnym, niekończącym się tonięciem w kamiennym mroku; pamiętałem bowiem orzeczenie Alexa: nie można mnie zabić. Santana wytrwale parł naprzód. Woda podniosła się powyżej mych kolan.

Zacząłem coś szybko mówić, on krzyknął, żebym się zamknął, ja krzyknąłem na niego...

Byliśmy w Londynie.

## 7. Atrapa

Dziewiętnastowieczny Londyn stanowił po większej części jeden wielki śmietnik. Osławiona londyńska mgła w połowie brała się zapewne z ciężkiej, cuchnącej pary unoszącej się nad ulicznymi hałdami gnijących odpadków. W taki dzień – słoneczny, gorący, typowo letni w swej lepkiej duchocie – nie było czym oddychać.

W tym świecie już nie zabezpieczano Bram, byłoby to zresztą bardzo trudne. Ich heksagon znajdował się na dachu dużego, dwupiętrowego domu stojącego niemal nad samym brzegiem Tamizy. Z pół setki ludzi mogłoby się pojawić niezauważonych przez nikogo wśród owej podniebnej płataniny wieżyczek, budek, kominów, wywietrzników, gargulców i maszkaronów. Labirynt ten ciągnął się dziesiątkami metrów. Nawet Santana miał pewne kłopoty w orientacji i dłuższą chwilę kluczył niezdecydowany, nim znalazł przybudówkę, o którą mu chodziło. Jej drzwiczki zamykano od zewnątrz. Odryglował je i machnął na mnie ręką. Z minutę tak stał i machał, zanim wreszcie ruszyłem się z miejsca. Zbyt byłem zajęty przyglądaniem się sobie.

Miał rację, kiedy mówił, żebym nie przywiązywał się do przedmiotów – żaden nie pozostał nie zmieniony. Ubranie ze skózanego przetransformowało się w lniane, o kroju, choć prymitywnym, to pasującym do epoki. Nóż z brązu stał się stalowym kordelasem. Ja sam się zmieniłem: cera mi pojaśniała, rysy przelały się w kierunku anglosaskiego typu fizjonomii. U Santany owe przemiany były znacznie bardziej subtelne i zarazem dalej posunięte. Jeszcze chwilę temu był odziany tak samo jak ja; przechodząc przez Bramę zdobył jakimś cudem drogi, elegancki dwurzędowy garnitur, połyskującą morskim odcieniem kamizelkę, jedwabną chustę. Fryzura – skrócił włosy do jednej czwartej – i magiczny masaż głowy uczyniły z niego archetyp angielskiego arystokraty w średnim wieku. Nie widziałem jego noża, nie wątpiłem jednak, że przekształcił się w zabytkowy sztylet czy coś w tym rodzaju.

Rozpadającymi się, zakurzonymi schodami zeszliśmy na poddasze, stamtąd do głównego korytarza drugiego piętra. Zobaczył nas służący, wynurzających się z ciemności nie używanej od lat klatki schodowej – nie wrzasnął tylko dlatego, że oddech uwiązał mu w piersi.

– Sir John Bottomley – odezwał się Santana, popisując się dystyngowanym przeciąganiem zgłosek – jest w domu, jak mi nie mam.

– O-owszem...

– Bottomley – perorował w bibliotece Santana wyciągnięty na wielkiej sofie, gdzie oczekiwaliśmy na przybycie gospodarza – to nieco stuknięty gość; ma bzika na punkcie okultyzmu, czarnej magii, duchów, hinduskich czarowników i tym podobnych rzeczy. Wykorzystaliśmy to. Dwadzieścia parę lat temu – oczywiście według miejscowej rachuby czasu, to powolny świat – kilku ludzi od nas zgłosiło się do niego; nic nie powiedzieli wprost, on sobie sam wszystko doskonale dopowiedział. Pokazali mu, niby od niechcenia, parę sztuczek. Tu ograniczenie magii nie jest bynajmniej tak silne, gracz z wysokimi współczynnikami może wiele zdziałać. No więc daliśmy Bottomleyowi forszę, poinstruowaliśmy go... Wykupił ten i sąsiednie budynki i teraz pełni straż nad, a właściwie pod Bramami. Jest idealnym agentem na taki świat; prócz niego mamy w tej Anglii tylko dwóch. Często wykorzystujemy w podobny sposób atrapy.

– Atrapy?

– Oczywiście. Myślałeś, że co? – że Bottomley jest prawdziwym człowiekiem? To tylko ciąg zer i jedynek w pamięci Allaha. Podobnie jak to wszystko.

– A skąd u ciebie ten nieskazitelny angielski z prywatnej szkoły? – spytałem z kolei; zasób pytań posiadałem nieograniczony, chciałem wykorzystać dobry nastrój Santany, zwykle przecież nie bywał on taki rozmowny.

Czarny zaśmiał się.

– Słyszysz angielski, co? Ale tak naprawdę to ja wcale nie poruszam ustami. Tak naprawdę mówię tylko w myślach; lecz Allah na poziomie Irrehaare omija również papugca – uniwersalny werbalizator idei, jak go nazwali. To, co myślę, że mówię – myślę bezpośrednio do twojego umysłu, lecz opakowane we wrażenie słyszenia słów wypowiedzianych – tak czy inaczej, w tym czy innym języku – słów, które przecież mogły mi w ogóle do głowy nie przyjść. Sądziłeś, że ja rzeczywiście znam te wszystkie indiańskie narzecza? Dziewięćdziesiąt procent graczy szwargoczących swobodnie w swych wizjach po chińsku, hiszpańsku, szwedzku, francusku i w swahili – ledwo mówi w basicu! Ta rzekoma ich znajomość, to tylko jeszcze jeden atrybut postaci przystosowywującej się do nowego świata podczas przechodzenia przez Bramę; ten proces jest do pewnego stopnia sterowalny, kiedyś się tego nauczysz. Ja przechodziłem przez Bramy tysiące razy. To dlatego wyglądasz przy mnie jak parobek. I mówisz jak parobek. Nie musisz znać niemieckiego, by, usłyszawszy, rozpoznać go. To wrażenie.

Wszedł Bottomley.

Był młodszy, niż go sobie w wyobraźni malowałem. Niski, pulchny, energiczny, uśmiechnięty. Jedno

oko kaprawe, większość zębów zepsuta. Zaczynał łysieć. Mówiąc połykał końcówki słów; mówił bardzo szybko. W ciemnych, mokrych pobłyskach jego źrenic czaił się strach, śmiertelny strach przed nami. Przez chwilę poczułem się równy Santanie, poczułem się bogiem nad Bottomleyem.

– Potrzebujemy paru rzeczy – mrucał Czarny. – Nic specjalnego. Ale zależy nam na czasie. Postaraj się, John. Rozliczymy się w zwykły sposób.

– Tak, tak, tak; oczywiście. Powóz, konie, ubranie, broń...

– Właśnie. Normalny zestaw.

– Już, już. Już załatwiam – zapewnił Bottomley.

Rzucił na mnie badawcze spojrzenie i wybiegł.

Fakt, niewiele czasu mu to zabrało, musiał być przyzwyczajony do ciągłego pośpiechu swych tajemniczych gości – żaden z nich nie zamierzał być przecież, przebywając w tym powolnym świecie, tracić w światach pozostałych miesiące i lat.

Santana, już w powozie, wyprowadził mnie z błędu.

– To nie jest całkiem tak – odpowiedział mi, smagając konie batem. – Istotnie, ci, którzy korzystają z heksagonu Bottomleya zazwyczaj uciekają stąd jak najszybciej. Ale spora grupa samotników, nie związanych ani z Samurajem, ani z nami, specjalnie osiada w wizjach o wolnym względnym upływie czasu – oni chcą to po prostu przeczekać; czekają na wyzwolenie. Inna rzecz, że takie zachowanie to chowanie głowy w piasek: na terytorium Samuraja nie ma już wolnych.

W dostarczonym przez Bottomleya ubraniu było mi jeszcze goręcej. Zyskałem na prezencji, straciłem na wygodzie; tutejsi dżentelmeni musieli latem straszliwie cuchnąć potem. Dostaliśmy także dwa ciężkie, prymitywne *colty*.

– Właściwie – mruknąłem po chwili mocowania się z guzikami. – powinno się odwrotnie określać światy powolne i szybkie; przecież szybkie...

– Otóż to – przerwał mi Santana z zagadkowym uśmiechem. – Musisz się przyzwyczaić do tej absolutnej relatywności Irrehaare. Kwestia czasu to doskonały przykład. Zastanów się: skąd się wzięły właśnie takie określenia?

## 8. Krew atrapy

Dość prędko odbiliśmy na południe od Tamizy, wczesnym popołudniem minęliśmy od północy Aldershot, do samego Stonehenge docierając nocą; Santana popędzał konie bezlitośnie. Powóz i spienione zwierzęta zostawił w gospodzie, której właściciela najwyraźniej znał. Od niej do wzgórz był jeszcze spory kawał drogi.

Gdzieś tak od przekroczenia granicy hrabstwa Salisbury pogoda zaczęła się psuć; dziwne rzeczy powykwiwały po zachodniej stronie nieba, tuż nad horyzontem. Niby chmury, lecz bynajmniej nie ulotne w swej monolityczności; niby odległe, ale niesamowicie wyraziste. Zbliżały się. W przerażającym tempie pożerały ciemniejący z nadejściem nocy nieboskłon. Santana co i raz rzucał nań niespokojne spojrzenia.

Wzniesienie Stonehenge i jego kamienną koronę dojrzelśmy już w mdłym świetle stojącego w pełni Księżyca. Santana dojrzał bez wątplenia również prostokąty Bram, ale i coś jeszcze.

– No to mamy mały kłopot – warknął podczas forsownego marszu ku wzgórzom. – Widzisz te światła? – wskazał w kierunku Avonu.

Istotnie, pobłyskiwały tam jakieś świetlne smugi.

– Obserwuj krąg – rzucił. – Pewnie tam też się kręca.

– Kto?

– Niedawno nasi musieli korzystać z którejś Bramy. No i zobaczyli ich miejscowi. A teraz masz tu

lotną brygadę tropicieli tajemnic.

Wbiegliśmy między kamienne bloki. Zachodnia strona nieba powleczone była szczelnie ową czarną masą, Santana nie mógł wręcz oderwać od niej wzroku, dopiero więc w ostatnim momencie spostrzegł wieśniaka ze zgaszoną lampą w ręku, który rzucił się nań, wyskoczywszy niespodzianie zza porośniętego mchem przewróconego bloku. Santana wyciągnął *colta* i strzelił wieśniakowi w gardło; poniosło w mrok śmiertelny huk. Ofiara, krztusząc się własnym życiem, odtańczyła w bok. Patrzyłem za nią, zszokowany; tryskała jej spod brody w lepką ciemność ciężka fontanna krwi, zraszając wysuszoną ziemię. Santana, zniecierpliwiony, szarpał mnie za ramię.

– No rusz się! To jest coraz bliżej!

– Dlaczego... dlaczego ty go...

– To atrapa. No co tak stoisz, do cholery?!

I wówczas, skręcając za Santaną między starożytne filary, zasłuchany w cichnące rżenie wieśniaka, w tym osobliwym, rzadkim spięciu swego ego z własnym, a obcym wyobrażeniem o innym człowieku, uzyskawszy nagle wgląd w jego myśli – zrozumiałem Santanę, pojąłem ów zimny, nieludzki spokój, ową gadzią, dziecięcą obojętność, z jaką zamordował on wieśniaka, z jaką mnie obcinał palce. Wszak Santana w istocie tego nie robił, on tak naprawdę nic nie robił, dla niego ci ludzie – a i ja, wtedy w śmigłowcu – byli niczym więcej, jak podprogramami wielkiego systemu Irrehaare, świetlnymi postaciami z elektronicznej gry, bryzgającymi elektroniczną krwią na ekran, pixelowymi ludzikami ginącymi od widmowych pocisków i rodzącymi się na nowo po wrzuceniu monety. Bo tak też było w rzeczywistości. Irrehaare to więcej, niż się z początku wydaje: to wolność od grzechu. W tych fantasmagorycznych światach powstałych z zafalszowania zmysłów nie sposób popełnić żadnego złego uczynku (podobnie zresztą jak i dobrego), ponieważ sama idea uczynku jako takiego jest Irrehaare całkowicie obca – Irrehaare to królestwo pragnień.

Połąnęła nas tęcza, wypadliśmy, przepluci przez Bramę, w wysokopienny, rzadki las; padał tu silny deszcz, grzmiały pioruny.

– Co to było?! – krzyknąłem przez szum ulewy. – To na niebie! Co to było?!

– Wirus – odparł Santana.

Zdążyłem tylko rzucić okiem na nasze nijakie, paramilitarne stroje – po czym Santana przeciągnął mnie przez sąsiednią Bramę.

Ciemność absolutna. Pod nogami chlupocze błoto. Powietrze jest suche, ostre, drapie w gardło; zaczynam się krztusić...

Kolejna Brama.

Cisnęło nas w środek ogromnej, zawilgotniałej betonowej jaskini. Kilometrowej długości halę oświetlały nieliczne ocalałe wielkie lampy sufitowe, zalewając ją potokami żółtawego, anemicznego blasku. Szczątki niegdyś potężnych maszyn niszczały pod ścianą, spotworniałe w przerdzewiałe szkielety. Tu i ówdzie dostrzec można było wyblakłe fragmenty ostrzegawczych napisów w języku niemieckim.

Po prowizorycznej kładce przeszliśmy nad kałużą czarnego oleju i weszliśmy w jeszcze jedną tęczę.

Wypluło nas w Central Parku.

Był późny jesienny wieczór.

Gdzieś daleko krzyczała kobieta.

Niebo pokrywała niepokojąco swojska mozaika reklam: w zenicie stała Coca-cola, ku Manhattanowi obracały się srebrne koło logo Shoito, dalej płonęły ICEC oraz IBM, zaś za nami uderzał z nieboskłonu feerią dzikich kolorów film zachwalający pierwszą, eksperymentalną serię domowych Cerberów GenLSTor. Był to już więc czas ICEC-u i Cerberów, lecz jeszcze nie wszczępek: reklamy z ich pasma *public domain* wyparłyby całkowicie wszystkie inne. Wszak nawet *shareware'owy* narzut trzeciej

rzeczywistości – tworzenie pod-Irrehaare – był równie groźny, co zaślep amnezyczny i obowiązywał zakaz piętowych mamideł, teoretycznie zatem nie miały prawa istnieć symulacje światów późniejszych niż ten. Tak to sobie kalkulowałem. Lecz możliwe było, iż Samuraj złamał i tę regułę; stworzyłoby to nielichy problem prawny: te tysiące zatrzaśniętych – wszystkich ich po uwolnieniu należałoby w myśl Konwencji uznać za niepoczytalnych do końca życia, do końca życia bowiem w żaden sposób nie udałoby się nikomu z nich udowodnić, że wyszedł już ostatecznie z zaślepu i nie jest to jedynie kolejna jego kondygnacja. Swoją drogą, i tak zapewne zostaną w jakiś sposób znadzorowani – ja zostanę znadzorowany.

Rozejrzałem się po okolicy.

Santana wzruszył ramionami w odpowiedzi na me pytające spojrzenie. – Czasami Allah naprawdę dziwne miejsca wybiera na Bramy. Nie zawsze korzysta z miejscowych przesądów i mitologii.

Przyjrzawszy się z krzywym uśmiechem garniturom, w jakie byliśmy przyodziani, poddreptał ku nam kurdupłowaty skin-kaleka. Kalectwo wpisano w każdy jego ruch, kaleka była każda część jego ciała, kalekie ich połączenie; i myśli zapewne miał on kalekie. Sprawiał wrażenie przypadkowego zlepku kilkunastu różnych mężczyzn. Nawet sposób, w jaki się poruszał, sugerował pewną przypadkowość – fascynująco nieskoordynowany był jego chód. Maskę kalectwa nie zdołała jednak ukryć siły i energii drzemiących w tym skażonym ostateczną brzydotą ciele, niesamowitej jego „gęstości”: był to olbrzym ściśnięty do rozmiarów karła.

Kurdupel zatrzymał się jakiś metr od Santany. Skóra, glany, ćwieki, tatuaże, kolczyki, łańcuchy.

– Czarny – szepnął charkotliwie, patrząc na Santanę z dołu, z ukosa swoimi nieproporcjonalnymi oczyma.

– Llameth – rzekł Santana.

– Tak sobie myślałem, że będziesz wolał wrócić szybszą ścieżką.

– Nazgul cię tu postawił?

– Sam się postawiłem. Nazgul jest pewien, że gnijesz w Algonthoth.

– Coś się stało – mruknął Santana, na poły pytająco, po chwili niespokojnego milczenia.

– Ano.

– Co?

– Porozmawiamy w Astro. Co to za atrapa? – rzucił Llameth nie patrząc na mnie, a przynajmniej tak mi się wydawało.

– To nie atrapa – odparł Santana.

– Tak naprawdę to ja ślepy nie jestem.

– Widziałeś przecież jak wychodziliśmy.

– Ja znam twoje współczynniki, widzieć to ja przy tobie mogę różne rzeczy.

– To jest Nowy Jork, dwudziesty pierwszy.

– Ja znam twoje współczynniki.

– Porozmawiamy w Astro – westchnął Santana.

Llameth machnął ręką, rozkolebał się na krzywych nogach, zawrócił i poprowadził nas ciemną aleją ku wyjściu z parku.

Przy skrzyżowaniu przyskoczył do nas ciemnoskóry lalusiowaty cwaniak.

– Panowie, kurwa, spacerują tu sobie, kurwa, Księżyc, kurwa, świeci, kurwa...

Llameth jakoś tak zwinął się na swych pokręconych kończynach i naraz był już przy Murzynie.

– Co ty, Billy, kurwa, ja tylko tak... – zamruczał wystraszony nagle lalusz i tyle go widzieliśmy.

Taksówkę złapał Santana, bo dla Llametha żadna by się nie zatrzymała. I tak kierowca ujrzawszy go wsiadającego do wozu podniósł krzyk; Llameth zgasił go tysiąc dolarówką. Podczas jazdy nikt się nie odzywał, nawet taksjarski, który z masochistycznym zacięciem wpatrywał się w nasze oblicza w lusterku

wstecznym, pragnąc je zapewne zapamiętać do portretów pamięciowych. Wysiedliśmy przy zejściu do metra. Okazało się, że ten z kolei heksagon znajduje się na jego peronie; Brama umieszczona była w pokrytej kolorowym graffiti ścianie tunelu. Dla zagapionego w nas kloszarda musiało to wyglądać, jak byśmy wtopili się tęczą smugą w ów naścienny rysunek. I gdy objęła mnie cudowna lekkość grawitacji Merkurego, miałem jeszcze przed oczami jego śmiertelnie przerażoną twarz.

## 9. Gra

Astro II, noszące podnazwę Star Mexico, przedzielone od mroźnej powierzchni planety ponad tysiącem metrów skały, samo poprzedzielane jest szesnastoma warstwami izolacyjnymi – tłumaczył mi potem Santana. Tworzy to siedemnaście samowystarczalnych, hermetycznych poziomów plus ukryty znacznie głębiej, dodatkowy poziom techniczno-wojskowy, zwany Hadesem. Przed około osiemdziesięciu laty gracze nieco zmanipulowali budowę miasta przez „tutejszy” ICEC, pozorując zawalenie się i skażenie sztucznej jaskini Hadesu, odcinając go w ten sposób od reszty kompleksu; uciekający się następnie do swych – niewielkich w tym świecie – nadnaturalnych zdolności, całkowicie zablokowali Hades i oczyścili go z atrapy. Wybór tego właśnie świata i miejsca na bazę główną podyktowany był względnie szybkim upływem jego czasu, późną pozycją historyczną a centralną w pionie – lecz przede wszystkim faktem, iż w najniższej hali maszynowej Hadesu Allah z sobie tylko znanych powodów umieścił był jeden z pięciu dotychczas odkrytych Wielkich Heksagonów; wszystkie cztery pozostałe znajdowały się na terytorium Samuraja.

Ten heksagon heksagonów, nieproporcjonalna rozeta trzydziestu sześciu Bram o różnych rozmiarach, zajmuje ponad trzy kilometry kwadratowe hali; jej sufitu, przesłoniętego jarzącą się ostro świetlną mgłą, nie mogłem nawet dojrzeć: to jak patrzeć w słońce. Wyszliśmy prosto na oś rozety. Wznosi się tam, niknący po kilkuset metrach w mgielnym wirze, najgrubszy z siedmiu filarów kryjących w swych wnętrzach zespoły wind i szybów transportowych. Potrząsnąłem głową, oszołomiony: wokół płonęły z dwa tuziny pęków tęcz – bez przerwy ktoś przechodził przez Bramy, co chwila pojawiali się i znikali mężczyźni i kobiety, pojedynczo, w grupach, na i w przedziwnych pojazdach, poodziewani, mimo pewnego pokrewieństwa stylów, w znacznie różniące się między sobą ubiory. Jedną pastelową smugą zmaterializował się nawet poduszkowiec. Na podłodze, pokrytej szorstką, uginającą się lekko materią, zaznaczono białymi liniami miejsca styku z nią progów Bram; niektóre nie miały i dziesięciu metrów, niektórym długość można było liczyć w setkach. Po obydwu stronach każdej linii wymalowano odpowiednio duże prostokątne czerwone pola wyjścia, na które należało unikać przypadkowego wkroczenia; wymalowano je po zmiążdżeniu dwóch osób przez grupę graczy uciekającą z innego świata w samobieżnej baterii rakiet – dodał Santana w formie anegdoty.

Obszerną windą pomknęliśmy gdzieś w górę; automat kobiecym niskim głosem recytował nazwy kolejnych pięter Hadesu. Czekałem na rozwój sytuacji, nie chciało mi się o nic pytać. Llameth patrzył na mnie – spojrzenie też miał chore.

Winda się zatrzymała i weszliśmy do ogrodu. Przysiadła pod pobliskim drzewem małpa, wielki goryl, zerknęła na nas spode łba, jak tylko małpy potrafią. Ja miałem na sobie szary, jednoczęściowy kombinezon, Santana lśniący garnitur, również Llameth pozostał przy poprzednim ubiorze – małpie coś się w nas nie spodobało. Wstała, charknęła – i wskazała zgiętym paluchem na mnie.

Santana wzruszył ramionami.

– To nie jest atrapa – westchnął.

Goryl nie poruszył się.

– Idź, powiedz Nazgulowi – rzucił Llameth.

Goryl podumał, podumał i podreptał w gąszcz.

Czekaliśmy przy windzie.

– Co mówi Yerltvachovicič? – spytał Czarny.

– A, nie nie mówi. Izolacjonista pieprzony. Ponoć prowadzi z Samurajem negocjacje przez

Zewnętrznie.

– Nie wierzę.

– Co chcesz, to Rzeźbiony.

– Rasista z ciebie.

– Skin człowiekowi wilkiem.

– Taki skin, myślałby kto.

Wrócił goryl. Nie miał już zastrzeżeń do mojej obecności.

Idąc przez sztucznie zdziczały tropikalny las sam się dziwiłem własnej umiejętności poruszania się w tak niskiej grawitacji – o ani jedną gałąź nie uderzyłem głową, ani razu nie zboczyłem z alejki.

Widocznie zyskałem tę wprawę przez sam fakt przejścia przez Bramę. Zastanawiałem się nad tym, by zając czymś umysł. Potem zobaczyłem Nazgula i rzecz natychmiast poszła w zapomnienie.

Siedział nad piaszczystym brzegiem rzeki w niskim wiklinowym fotelu, z długimi nogami wyciągniętymi nad wodę. Coś mówił do siebie. Ze względu na ukośny bieg alejki, wynurzywszy się z cienia lasu ujrzeliśmy go z profilu. Był wysoki. Był potężny. Był samą ciemnością, mrokiem o nieskończonej gęstości. Czarną dziurą spaczoną w postać człowieka. I aksamitnie czarny płaszcz, jaki go spowijał, nie był tak czarny, jak jego ciało, którego po prostu nie było widać: pożerało światło. Dziura w świetle. Cała zasysana przez Nazgula energia promieniowała w obląkańczej czerwieni jego oczu. On patrzył okrucami lustra wykradzonego z piekła. Żelazo obręczy ściskającej jego czaszkę musiało być gorące.

– Chryste Panie, Santana, gdzie ty się, do cholery, podziewał?! – warknął na nasz widok.

– Rozumiem, że Alex z tymi swoimi komandosami nie wrócił? – mruknął Czarny podchodząc.

– Co się stało, Samuraj wyróżnął was w pień? Spartaczona akcja niezwykłego Czarnego Santany?

– Ośmiu zginęło, paru nieprzytomnych nie mogło się odnowić przy przejściu, Alex pojechał z nimi szerszą ścieżką. Ja zostałem za wieżami z tym tu wybrykiem natury i wróciliśmy szybszą; Alex objeżdżał przez Lodowe Pola, to bardzo wolny świat, może go nie być jeszcze z tydzień.

– I co, na Polach niedźwiedzie go załatwiły?

– O co ci chodzi?

– Zrobiłem mały wypad na pierwszy krąg Zewnętrzza, jest tam między innymi taki trójśloneczny światek o zerowym oporze magii z wysokim współczynnikiem mityczności; od jakiegoś czasu sponsoruję miejscowym jedną świątynię. Allah był w dobrym humorze i urządziłem sobie pełny seans. Przy okazji, ni z tego, ni z owego, spytałem o was. I co się dowiaduję? Przez fazę śmierci przeszli w ciągu ostatnich kilku dni wszyscy z drużyny, z twoim, jak widać, wyjątkiem.

Santana milczał.

– No? – naciskał Nazgul. – Przypadek, co? Zero pojęcia?

– Cóż ci mogę odpowiedzieć? Nie będę przepraszać, że ja jeden nie umarłem.

– Przepraszać? Czy ja chcę, żebyś przepraszał? Ty masz mi to wyjaśnić, Santana! Wyjaśnić! Jak to możliwe, że po raz trzeci z kolei cudem wymigujesz się od śmierci, podczas gdy wszyscy wokół giną, a nie są to bynajmniej wrogowie. Ty zaś nie jesteś Krenym, nie jesteś Samurajem.

Nazgul wstał. Był o dwie głowy wyższy od Santany, który mnie przewyższał od dłoń, a ja karłem nie jestem.

– Masz miesiąc czasu Mexico. I chcę mieć przekonujące, słyszysz?, przekonujące wyjaśnienie tego fenomenu. Inaczej możesz sobie iść do Samuraja. Albo na Zewnętrznie.

– To nie jest mądre posunięcie – wycedził Santana. – Nie znajdujemy się w tak dobrej sytuacji, żeby móc sobie pozwolić na składanie ludziom podobnych ultimatum. Popelniasz błąd.

– Ty jesteś chodzącą bombą zegarową, Santana. Jonaszem. Ja nie mogę ryzykować. Skalkulowałem to: nie opłaci mi się zatrzymanie cię, choćbyś był drugim Yerlvtachovicičem. Któregoś dnia trafi nas meteoryt i ty będziesz jedyną osobą, która przeżyje. Bez urazy – wolę już cię mieć przeciw sobie.

– Wychodzi z ciebie adwokat, Nazgul.

Twarz Nazgula była mrokiem w mroku; może i uśmiechnął się, nie widziałem – podobnie jak niewiele zobaczysz patrząc w słońce, tak i nic nie dojrzysz we wnętrzu czarnej dziury.

Czerwone oczy zmieniły położenie.

– Kto to jest? Ta atrapa, co nie jest atrapą?

Santana spojrział na mnie, jakby zdziwiony.

– Taki jeden – powiedział. – Zwinęliśmy go w Kongo. Ja go zwinąłem, byłem ciekawy co to za fenomen. Widzisz, jego nie można zabić. Ale on przeszedł przez Bramę, zrekonstruował się z myśli; więc człowiek, nie atrapa. Myślałem; nurek czy ktoś w tym rodzaju. Nie pamięta nawet swojego imienia. Nie miał w ogóle pojęcia, że jest w Irrehaare.

Nazgul przypatrywał mi się.

– Santana, co ty chcesz z nim zrobić?

– Zrobić? W jakim sensie?

– Po coś go tu przywłókł?

– Jak to po co? Przecież...

– Ty chyba na głowę upadłeś. Llameth, zabij go.

Obróciłem się, cofnąłem o krok – coś niewidzialnego, sama czerwień spojrzenia Nazgula, ruch jego palców, odbłask na koronie, związało mi nogi; znieruchomiałem. Jak bydło na rzeź. O mnie się mówi, ja ani słowa.

Llameth siedział pod drzewem. – Kogo? – spytał przez żółte zęby. – Wyrażaj się, do cholery, jaśniej – warknął na Nazgula.

Nazgul typowo żydowskim gestem wznosił ręce ponad głowę i, potrząsnąwszy nią, zrezygnowany zwalił się bezwładnie w wiklinowy fotel.

Skin zachichotał.

– Llameth – szepnął Nazgul po chwili.

Llameth wzruszył ramionami; zaledwie przez ułamek sekundy zdawało mi się, że ruch ów ograniczy się do wzruszenia ramion, w istocie przedziwny ten balans nieproporcjonalnie szerokimi barkami nagłym zrywem poderwał go z ziemi i rzucił w przód, nadając kalekiemu ciału morderczy rozpęd. Karzeł poszedł w tan. Dzieliło nas sześć metrów, a trzykrotnie zdążyłem zgubić go spojrzeniem, nim mnie dopadł; on nie biegł, on właściwie w ogóle się nie poruszał, to raczej nim miotała jakaś szalona siła, w bok, w bok, do przodu, w bok, do tyłu, skok i obrót – był szybszy od wzroku. Nawet przewidzieć się tego baletu nie dało. Mgnienie oka i oto śmignął, jakoś tak zwinięty w sobie, z wystającą nie wiadomo skąd ręką, tuż przy mym boku. W ogóle nie zobaczyłem tego cięcia, nie zobaczyłem ostrza, które go zadało. Coś lało mi się spod brody. Krzyknąłem; krzyknąłbym, gdybym mógł jeszcze nabrać w płuca powietrza – lecz Llameth z precyzją chirurga wykonał mą śmiertelną tracheotomię. Upadłem. Czerwono. Takie to lepkie. Ktoś charczy. Nie zamykaj oczu. Hhh... Boli mnie ziemia. Palę się. Ogień w piersi. Moje ciało jeszcze się porusza. Jak ryba wyrzucona na brzeg. We własnej krwi. Czy to warkot wirnika śmigłowca?

## 10. Santana i Nazgul

– ...tak? Nie można zabić? Co ty kombinujesz, Santana?

– Widzisz przecież: nie znika.

– Nie znika, bo atrapa. Kurwa, Samuraj cię przekupił?

– Twoje słowa, Nazgul, twoje słowa.

– Okay, cofam, *sorry*. Ale na przyszłość nie wyskakuj z czymś takim. Jeśli w ogóle masz u nas jakąkolwiek przyszłość.

– Nie przyszło ci nigdy do tego ciemnego łba...

– Te, ludzie, on się rusza.

Natychmiast przestałem się ruszać.

– Sfuszerowałeś, Llameth.

– A cóż to za kalumnie? Ledwo mu się ta pieprzona głowa trzymała na karku.

– Mówiłem, że nie można go zabić.

– Dwie bomby zegarowe, nic innego. On nie może tu zostać. Zrób z nim co chcesz, ale w Mexico zostać nie może.

– To jest banicja, Nazgul.

– Jeśli tak to odbierasz.

– A jak mam odbierać? No, wstawaj – Santana kopnął mnie w bok. – Nie udawaj, Adrian.

– Mówiłeś, że nie ma imienia.

– Mówiłem, że nie pamięta imienia. Adriana sam sobie nadał. Llameth, poderwij go.

I poderwał mnie, aż coś mi trzasnęło w barku. Niewiele widziałem; czerwone widma tańczyły mi pod powiekami. W zwykłej grawitacji pewnie bym nie ustał.

– Może wy myślicie... – zacząłem charkotliwie.

– Zamknij się – mruknął Santana.

Otworzyłem szerzej oczy; twarz pokrywała mi nie do końca jeszcze zeschnięta skorupa krwi, rozłamywałem ją każdym ruchem ust, drgnięciem powiek.

Santana obrócił się do Nazgula.

– Dwa błędy jednego dnia...

– Nie chce mi się z tobą kłócić – przerwał mu Nazgul. – Jak chcesz, weź Llametha. I zejdź mi z oczu.

Znów spóźniłem się z moją kwestią. Chciałem coś powiedzieć, coś wykrzyczeć, udowodnić, lecz nim zebrałem myśli w konkretne słowa, nim udało mi się schwycić w płuca dostatecznie dużo powietrza – byłem już w windzie, już w klinicznej ciszy spadałem ku Bramom, i nikt nie zwracał na mnie uwagi; wciśnięty krwawym kłębkim w kąt, dyszałem ciężko – obok Czarny sprzeczał się leniwie z rozbawionym Llamethem.

– Doigrał się wielki Santana, a? Może jednak trzeba było kilka razy zdechnąć efektownie?

– Żebym był szalony jak ty?

– Żebyś był normalny. He, ty masz jeszcze niepokojąco zdrowy umysł.

– Że co?

– Dobrze ci radzę, zemrzyj parę razy. Od razu zrobi ci się lżej.

– Kim ty żesz, kurwa, jesteś w rzeczywistości? Ślepekim?

Wysiedliśmy tuż nad halą rozety. Santana z Llamethem skręcili i wąskim korytarzem przeszli pod wejście do wind jednego z bocznych filarów. Wlokłem się za nimi najszybciej, jak potrafiłem; nogi mi się plątały, plątał wzrok i myśli. Kapałem sobą w czerwonych łzach.

Zjechaliśmy w heksagon numer cztery. Jedną z jego Bram wtaczał się właśnie na karminowe pole wyjścia wielki, płaski czołg w towarzystwie dwóch harleyów. Długowłosi motocykliści wywrzaskiwali,

falszując, jakiś *rockandrollowy* standard. Kolumna minęła filar, przyspieszyła i rozmyła się w tęczy przeciwległej Bramy.

Koło naszej linii progu wypisana była umowna nazwa świata, który za nią się rozciąga, lecz nie zdążyłem złożyć jej liter w żaden sensowny wyraz, poderżnięcie gardła bardzo skutecznie pozbawia również zdolności koncentracji.

Przerzuciło nas na jakąś łąkę. Ciężenie przygięło mnie do ziemi. Szok. Cudowne uzdrowienie. Powietrze gładko wchodzące i wychodzące z płuc.

– No – machnął na mnie ręką Santana – nie zostawaj w tyle. To niedaleko, w jednym ciągu.

– Wy chcecie mnie zabić – powiedziałem. – Chcecie mnie zamordować. Pozbyć się mnie. Żałujesz, że jestem nieśmiertelny, prawda? – Palce.

Uniósł brwi, zdziwiony. – O co ci chodzi? No? – idziesz? nie idziesz? Chcesz się sam błąkać po Irrehaare?

– Irrehaare. Wasza ostateczna wymówka. Nic się nie dzieje naprawdę.

Ale mimo to poszedłem za nimi. Cóż innego mogłem zrobić?

Czterokrotnie jeszcze, w jednym ciągu heksagonalnym, przechodziliśmy przez Bramy.

Naga skała smagana wichrami.

Ciasne wnętrze betonowego bunkra.

Pusta ulica w pogrążonym we śnie Berlinie początku dwudziestego wieku; noc kryształowo czysta. Ciemność.

– Moment – mruknął Santana. Po krótkim echu jego głosu poznałem, iż znaleźliśmy się w zamkniętym pomieszczeniu.

Zapłonęło światło: lampa naftowa. Santana uniósł ją ze stolika stanowiącego jedyne wyposażenie tej sali. Marmurowa podłoga. Boazeria. Żadnych okien. W przeciwległej ścianie szerokie drzwi. Stolik umieszczono w środku heksagonu – jak zorientowałem się po układzie białych linii progów Bram. Ominąłem je starannie, podążając ku drzwiom za Santaną i Llamethem. Czarny miał na sobie przewiewną lnianą koszulę i nieco staromodne spodnie. Podobnie ubrany był Llameth; po raz pierwszy zrezygnował z maski skina – może po prostu nie zdołał jej utrzymać przechodząc do tego świata. Tak lekko odziany swe kalectwo niemal wystawiał na pokaz, chwalił się nim. Llameth był do tego stopnia odrażający, że aż fascynujący w owej nieprawdopodobnej brzydocie – już piękny. Ja, w prostego kroju koszuli i spodniach, mogłem pasować do każdej epoki. Chybotąła się lampa w rękę Santany, chybotął jej płomień, tańczyły cienie. Postawił ją na podłodze, wyjął skądś klucz i otworzył ciężkie, żelazne drzwi. Nie skrzypiały, lekko chodziły na zawiasach. Weszliśmy na kręcone schody. Czarny drzwi dokładnie zamknął za sobą. W górę; idąc tak, tęnym rytmem starego latarnika, wspinającego się co dzień na szczyt latarni po spiralnych, zmurszałych stopniach, dopiero wtedy zacząłem przemyśliwać nad ucieczką. Dokąd? Obojętne; byle dalej od tych potworów, które usiłują mnie zabić, gdy tylko przyjdzie im na to ochota. Palce. Teraz – teraz już mogłem bezpiecznie myśleć na ucieczką, albowiem nie byłem w stanie żadnych mych rewolucyjnych postanowień wprowadzić w życie – znów byłem uwięziony w jednym świecie ze swoimi wrogami. Lecz czy naprawdę byli oni moimi wrogami? Tu słowo „naprawdę” ma specyficzne znaczenie. Tak naprawdę to oni zapewne mdleją, gdy przypadkiem się zadrasną. Tak naprawdę żaden z nich nie widział człowieka konającego. Tak naprawdę są oni statystyczną, szarą próbką wielomiliardowego społeczeństwa, oddzieloną i wyróżnioną przypadkową awarią Allaha – przeciętni ludzie. Tak naprawdę to najprawdopodobniej żaden z nich mnie nie zna, kimkolwiek bym nie był. Tak naprawdę nic ich nie obchodzi – i to jest najbardziej przerażające.

Kolejne drzwi. Santana zgasił lampę. Za drzwiami jasno oświetlony gorącymi promieniami słonecznymi hall. Upał. Środek dnia w środku lata. Duchota.

– Witajcie na mojej plantacji – skłonił się z charakterystycznym uśmiechem na twarzy Czarny.

## 11. Raj Santany

Dla miejscowych atrap był cudzoziemskim milionerem, Santaną Philipem Blackiem, który, wykupiwszy ten zahipoteczony majątek, przeniósł się doń ze swych rodzinnych stron z powodu jakichś rodzinnych waśni. Sąsiedzi go poważali, ponieważ był bogaty. Partnerzy w interesach szanowali, ponieważ był bezwzględny. Służba i niewolnicy bali się go, bo był okrutny. Damy fascynował, ponieważ nie maskował żadnej z tych cech. Żona natomiast go kochała, bo wiedziała – bądź wydawało się jej, że wie – iż w ten właśnie sposób maskuje on swe całkowicie inne, prawdziwe oblicze. Santaną zaś wszyscy oni niewiele obchodzili – stanowili wszak tylko zerojedynkowy ciąg w którymś buforze pamięci Allaha.

Dom był duży, przestronny, słoneczny. Nigdy nie poznałem wszystkich tajemnic, jakie kryły jego niezliczone pokoje. Przydzielono mi jedną z kilkunastu sypialni zajmujących pierwsze piętro zachodniego skrzydła. Widziałem stamtąd podjazd, ogród, drogę i fragment najbliższego bawełnowego pola Santany. Słyszałem szybujące ciężko w bezwietrznym powietrzu zaśpiewy Murzynów pracujących na nim.

Służba traktowała mnie jak równego mu statusem gościa gospodarza, najwyraźniej była przyzwyczajona do nagłych pojawień się Santany i jego przedziwnych przyjaciół, nie dziwiło ich to, nie okazywali też po sobie zdziwienia naszymi nadnaturalnymi zdolnościami. Santana nierzadko znikał na kilka dni, po czym równie niespodziewanie pojawiał się – sam bądź w towarzystwie tajemniczych nieznajomych. W istocie były to eskapady nawet kilkumiesięczne, lecz z uwagi na nieprawdopodobnie powolny upływ tutejszego czasu odbierano je jako krótkie wycieczki. Dowiedziawszy się o owej właściwości jego świata, zrozumiałem, iż Santana nie miał w ogóle zamiaru podporządkować się żądaniom Nazgula, że od początku niewiele sobie robił ze swej szumnie zwanej banicji.

– To nie pierwszy raz kością w gardle mu staję – wyjaśnił mi przy jakiejś okazji – Nazgul ma uraz na moim punkcie. W rzeczywistości to adwokat; jako przywódca sprawdza się bardzo dobrze w koordynacji skomplikowanych działań, planowaniu długofalowych strategii i podejmowaniu nagłych decyzji. Ale to również paranoik. Inna rzecz, że na jego miejscu sam pewnie dorobiłbym się choroby psychicznej.

– Uznajecie taką jego wszechwładzę? Autarchię jednej osoby?

– Myślałeś, że mamy tu jakiś parlament czy jak? Owszem, demokracja miła rzecz, ale pokaż mi parlament, który będzie podczas bitwy dowodził z konia walką i który posiada coś takiego jak honor i prestiż, dzięki którym żołnierze chcieliby się pod nim bić, a w Irrehaare na tym to się właśnie opiera.

Santana zatem postanowił po prostu przecześć całą sprawę w swej luksusowej kryjówce. I Llameth zadowolony był z takiego rozwiązania; zresztą, jak się szybko okazało, nie była to bynajmniej jego pierwsza wizyta w Luizjanie Czarnego, tutejsze atrapy znały go doskonale, straszły nim dzieci. Llameth miał słabość do kilkuletnich chłopców. Rzadko znajdowano ich zwłoki.

Irrehaare.

## 12. Oko wszystkowidzące: Allah

Czas biegł, niezauważalnie umykały dni i tygodnie pomiędzy śniadaniem i obiadem, mijało mnie za niewidzialnymi barierami Bram okrutne uniwersum złudzeń, sen maszyny. Czego nie widzę, nie słyszę, nie czuję – to nie istnieje. W istocie bowiem po opuszczeniu danego świata przez ostatniego gracza, świat ten spłaszcza się w pamięci operacyjnej Allaha do suchej symulacji, której odpowiedni wycinek zostanie ponownie przełożony na język dźwięków, kolorów, zapachów, dopiero gdy znajdzie się ktoś,

komu można by tę ułudę wstrzyknąć seriami impulsów przez wszczepkę do mózgu. Ci Murzyni nie śpiewaliby, gdybym ja nie słuchał. Słońce nie świeciłoby, gdyby nie było gracza, który czuje jego promienie. Solipsyzm stechnicyzowany; każdy z nas jest Bogiem Allaha. Z drugiej jednak strony, Allah jest naszym Bogiem.

– Wytlumaczę ci to na przykładzie – rzekł Maastrachni wyjmując z kieszeni ćwierćdolarówkę. Był on jednym z gości Santany, o którym wiedziałem, że jest graczem – wciąż bowiem, mimo nieustannego przymyknięcia lewego i prawego oka, nie byłem w stanie samodzielnie ich identyfikować. Maastrachni był szczupły, krótko przyszyty, o ciemnej karnacji; niewiele mówił, nie pytany nie odzywał się, trzymał się zawsze na uboczu, nie włączał do żadnych dyskusji, sam nie zadawał pytań, choć na jemu zadane grzecznie odpowiadał – zachowywał się nieco sztywno, był zawsze spokojny cichym spokojem życiowych samotników. Atrapy darzyły do sympatią, budzącą u innych graczy zdziwienie i irytację; Maastrachni mieszkał u Santany już dłuższy czas.

– To jest świat o dość wysokich współczynnikach mityczności i magii. Więc tylko sobie pomyśl wyraźnie: która strona monety odpowiada „tak”, a która „nie”.

– No i co?

– Zadaj jakieś pytanie i rzuć.

Czy dwa plus dwa jest cztery? Zacząłem rzucać. Tak. Tak. Tak. Tak. Bez przerwy wypadała reszka, to było niesamowite. Czy motyl to roślina? Orły. Czy Ziemia jest płaska? Orły. Czy istnieje Bóg? Tak, nie, nie, tak, nie, tak, tak...

– Zadałeś pytanie, na które Allah nie zna odpowiedzi – rzekł obserwujący me poczynania Maastrachni. – Albo na które nie można odpowiedzieć tylko twierdząco czy przecząco.

Siedzieliśmy na pomarańczowo rozświetlonej cukierkowym zachodem słońca werandzie; Maastrachni, w przewiewnej białej marynarce, z laską na kolanach, sączył powoli chłodną herbatę. W zagrodzie za odnogą parku ujeżdżano dzikie konie, dochodziły stamtąd pokrzykiwania jeźdźców i widzów, tętent galopu poskramianych zwierząt. W domu panowała senna cisza sierpniowego wieczoru.

– A gdybym spróbował oszukiwać? Kontrolować rzuty. Lub w ogóle rzucać sfalszowaną monetą.

– Jeśli tylko będziesz robił to świadomie, jeśli choć raz pomyślisz o tym, Allah odczyta to i również otrzymasz wynik nie oznaczający.

– Chcesz powiedzieć, że on zna nasze myśli? Czyta w nich?

Maastrachni odłożył filiżankę. – Oczywiście. Na tym to się opiera. Żadnych czynów. Tylko myśli. Chwilę się zastanawiałem.

– Czemu więc – spytałem go – Nazgul tak nalegał, by Santana się dowiedział, co przydarzyło się Alexowi i jego ludziom, skoro wystarczyłby rzut monetą?

– Nie wystarczyłby.

– Przecież Allah zna odpowiedź na to pytanie.

– Zna.

– To dlaczego...

Z wnętrza domu dobiegł nas miękki pogłos muzyki fortepianowej.

– Marie – rzekł Maastrachni. Marie była atrapową żoną Santany.

– Dlaczego... – zacząłem ponownie.

– Bo to wiadomość zbyt ważna. Allah to komputer, myśli algorytmami, w jego „szaleństwie” jest wprogramowana mu na samym początku metodyczność i precyzja; część zasad złamał najjaskrawiej jak można, a pozostałych przestrzega z mechaniczną dosłownością. Przypuszczam, a jest to koncepcja Santany, iż chodzi tu o zakaz ingerowania przez Allaha w światy Irrehaare jako strony. To jest logika komputera, on może ci obliczyć co do grama masę Słońca, a w chwilę potem poda złą datę, bo urzędnicy informatyk przeskoczył z jakąś pętlą o jedną komórkę za daleko.

Sceptycznie przyjąłem te wyjaśnienia. Wszak „ważność” każdej informacji jest wysoce względna. Pomyślałem sobie: Allah po prostu ujawnia, co chce. Nie wyciągnąłem jednak wówczas głębszych wniosków z tej konstatacji.

Maastrachni mówił i mówił; Marie przestała grać, wyszła na werandę. On się nawet nie obrócił, mówił dalej z tępą zaciętością, choć wiedząc o jej obecności powinien zmienić temat, zamilknąć – nie jest dobrze, gdy atrapy zbyt wiele się domyślają.

Marie zatrzymała się, spojrzała na mnie, na plecy Maastrachniego, uniosła brwi. Taka doskonała. Koronki i jedwabie jak mgła wokół niej. Włosy białe lodową bielą śniegu, jasna skóra troskliwie chroniona przed ultrafioletem. Ruchy bogini. Potrząśnie głową i niebo zapłacze. Odwróć wzrok od tych ust.

Uśmiechnęła się i odeszła; żadna chwila nie jest tak piękna, by trwać wiecznie.

### 13. Miłość w Irrehaare

Klara, jeszcze jeden gracz goszczący u Santany, zagadnięta podczas kąpieli w zakolu pobliskiej rzeki o dziwne zachowanie Maastrachniego, rozchichotała się dziko.

Podpłynąłem do niej, rozpryskując wodę na wszystkie strony.

– Maastrachni to wariat – rzuciła, wymykając się z mego uchwytu.

– Nie powiedziałbym.

– Ty wiesz, kim on jest w rzeczywistości?

– Kim?

– To assassin Imperium Islamskiego. Wmontowali mu wszczepkę, bo został przerzucony do Europy ze swoją grupą dla wykonania jakiegoś zadania.

– Skąd wiesz?

– Sam mi powiedział.

– To czyni z niego przestępcę, ale nie szaleńca.

Klara unosiła się na wodzie z rękami pod głową, mrużąc oczy przed słonecznymi odbłaskami tańczącymi po powierzchni rzeki i promieniami samego słońca.

– Maastrachni był człowiekiem Samuraja. Otrzymał polecenie zabicia Santany, aby Samuraj mógł go pochwyć na swoim terytorium. No i przedarł się przez kontrolowane przez nas Bramy, dotarł do tego świata, poczekał na przybycie Santany i zabił go. Niestety, zobaczył Marie. Zakochał się w niej.

– Tak?

Klara obróciła się, spojrzała zdumiona. Zanurkowała i wypłynęła przy mnie, w cieniu stromego brzegu.

– Nie rozumiesz? On się w niej zakochał. Zakochał się w atrapie! Wiedział, że to atrapa, nie jest ślepy jak ty. Zakochał się i został tu.

– A Santana?

– Jakimś cudem wrócił; pozwolił mu zamieszkać u siebie. Wyeliminował w ten sposób niebezpiecznego gracza z armii Samuraja. Ma go na oku. Uzależnił od siebie.

Czasami zapominałem, że to tylko Irrehaare, złuda i fałsz, i wówczas w żaden sposób nie mogłem zrozumieć tych ludzi.

– I co? Nie przeszkadza mu to? Pilnuje ich bez przerwy czy jak?

Klara zaśmiała się.

– Przecież on dobrze wie, że Marie go zdradza z Maastrachnim – to w ten sposób sprawuje nad nim kontrolę. A Marie jakoś kocha ich obu; Maastrachni cierpi, biedny idiota.

– Chyba jestem tępy.

– To atrapa! Atrapa! Nie rozumiesz? Maastrachni jest szalony, kocha atrapę! Podprogram Allaha! Spojrzałem na Klarę, czarnowłosą nimfę o narkotycznie błękitnych oczach i skórze jak aksamit.

– A kim ty naprawdę jesteś? – spytałem po długiej chwili intymnego milczenia.

– Lepiej, żebyś nie wiedział – szepnęła, ściągając mnie w głębinę.

Następnego dnia dowiedziałem się od Llametha, iż gracz posługujący się postacią Klary w świecie rzeczywistym jest osiemdziesięcioośmioletnim emerytowanym policjantem.

Widział jak zbłądłem. Zarechotał, poklepał się po swych krzywych nogach.

– A tyś myślał, że co? Że Allah sczytuje obrazy postaci ze zdjęć graczy z banku danych? – zaskrzeczał ubawiony. – Toż każdy wybiera właśnie taką osobę, jaką nie jest, a chciałby być! To dlatego w Irrehaare tyłu jest mężczyzn o ciałach Dallego, a kobiety jedna w drugą Afrodyty!

– W takim razie, kim ty jesteś naprawdę, pokrako? – warknąłem.

– A zgadnij, zgadnij.

## 14. Nie tylko Allah

Okazało się, iż to nie koniec cudów Irrehaare. Po trzech tygodniach pobytu w Luizjanie w końcu wykształciła się u mnie zdolność identyfikacji graczy. Chodziłem po domu i mrugałem. Zafascynowany obserwowałem przedziwne wyostrzenie się zarysów sylwetki Czarnego, Llametha, Klary, Maastrachniego, Ausburga, Kreny'ego. Spotkałem jeszcze kogoś; nie wiem, jak tę osobę sklasyfikować. Nie jestem nawet pewien jej płci. Być może był to wirus, być może jakiś tajemniczy gracz o niesamowitych współczynnikach. Szedłem alejką w cieniu szpalerów niskich drzew ukochanego sadu Santany, przyroda grała na pełnym spektrum subtelnego piękna i naturalności, wiał lekki wiatr, czułem się półbogiem – on wyszedł zza zakrętu. Zamrugałem: tego typu rozświetlonego a ostrego rozemglenia konturów sylwetki nie spostrzegłem jeszcze u żadnego z grających, zbiło mnie to z tropu. Tamten był już przy mnie. Dziwne – teraz nie potrafię sobie przypomnieć żadnych szczegółów postaci nieznajomego; wysoki? niski? jakie włosy? jakie ubranie? Pamiętam, że się uśmiechał. Podał mi coś – broń. W tym świecie mogła to być tylko szabla kawaleryjska. Wziąłem dar; nieznajomy odszedł, zniknął. Pojęcia nie miałem, o co w tym wszystkim chodziło.

Chowając szablę pod łóżko pomyślałem: jeszcze jeden mit, Irrehaare to tygiel wszelkich możliwych baśni, podań, archetypów i toposów; musiał się tu pojawić jakiś Nieznajomy, Tajemniczy z dużej litery pisany, jakaś misja i święty artefakt. Lecz nikomu nie opowiedziałem o pochodzeniu szabli.

Wieczorem natknąłem się, też w sadzie, na wałęsającego się bez celu wielkiego wilczura Santany, Ikiego. Jego też wyostrzyło.

– Nie wiem, kim on jest poza Irrehaare – odpowiedział na moje pytanie Santana. – Pewnie zapalonym kynologiem, który włączył się na chwilę w postać psa, by sprawdzić poprawność algorytmów symulacji. I miał pecha zrobić to w nieodpowiedniej chwili, jak my wszyscy. – Przypomniałem sobie goryla z ogrodu Nazgula w Astro.

Przyszło mi do głowy, że skoro odróżniam graczy, to może również dostrzegam już Bramy. Wyprosiłem więc u Santany klucz do piwnicznej sali przejść; był zdumiony moją stanowczością.

Zszedłszy na dół po niebezpiecznie śliskich schodach, z zapaloną lampą w rękę, otworzyłem i zamknąłem za sobą żelazne drzwi. Lampę ustawiłem na stoliku i przystąpiłem do badań. Mimo wpatrywania się z uporem w przestrzeń ponad białymi liniami progów, nie zobaczyłem tam nic niezwykłego. Stałem na środku heksagonu. Dalej nic. Zacząłem chodzić wokół ścian pomieszczenia, licząc, że znajdę wreszcie kąt – jeśli rzecz od tego była uzależniona – z którego w końcu ujrzę Bramy. Nie

znalazłem. Trudno; mam czas, poczekam, sprawdzę jeszcze później.

Przy liniach progów wypisano orientacyjne nazwy miejsc przeniesień. Począwszy od „Berlina”, idąc zgodnie z ruchem wskazówek zegara, były to: „Maehatt”, „Dick River”, „Pekin V”, „Caesia's House” i „Kilimanjaro”. Korciło mnie, by spróbować samodzielnego przejścia, chociażby do Berlina, i poćwiczyć sterowanie procesem kreowania swej postaci w nowym świecie. I najpewniej zrobiłbym to, gdybym nie dostrzegł owej kartki. Leżała pod stolikiem, tuż przy jego jedynej nodze – mały, biały, nieco zmięty, prostokątny ścinek papieru z nakreślonymi piórem kilkoma słowami. Zaciekawiała mnie, nic więcej; w końcu to tylko kartka. Podniosłem ją, zbliżyłem do lampy.

SANTANA:

OD MEZOZOIKU IDZIE PRZEZ CIĄG WIRUS ZWIERCIADLANY  
WIECZÓR 14 LUTY 54 NA KILIMANDŻARO  
CAVALERR

## 15. Chmury nad rajem

– Kto to jest Cavalerr? – spytałem Kreny'ego podczas kolacji.

Nad długim, zastawionym srebrem i porcelaną stołem unosił się szum przyciszonych rozmów, szybkich szeptów, krótkich wybuchów śmiechu; prócz graczy zasiadały przy nim tylko cztery atrapy i mogłem być pewien, że żadna z nich nie usłyszy pytania.

– Cavalerr? – zdziwił się Kreny. – To killer na usługach Yerltvachoviciča. Gdzie o nim słyszałeś? A może go sobie przypomniałeś?

– Wątpię, czy kiedykolwiek coś sobie przypomnę – pokręciłem głową unosząc kieliszek. – Amnezja totalna.

Kreny wydał policzek. – Nigdy nic nie wiadomo, nie bądź takim pesymistą.

– Ja już się po prostu przyzwyczaiłem do tej sytuacji. – Zastanawiały mnie własne słowa. – Prawdę mówiąc, nie byłbym bynajmniej zadowolony z powracania pamięci. Wolę być tym, kim jestem teraz, chociaż właściwie jestem nikiem; boję się odkryć zbyt wiele.

Kreny popatrzył na mnie dziwnie.

Kreny miał postać jasnowłosego dziewiętnastolatka, prawdziwego południowoamerykańskiego Apollina; jego miejsce startowe znajdowało się właśnie w tej Luizjanie. Naprawdę jednak był profesorem historii po sześćdziesiątce, po dwóch zawałach i trzech zerwanych kontraktach małżeńskich niskich stopni. Wchodząc do Irrehaare wybrał spośród dostępnych zestaw współczynników o najwyższym szczęściu, w efekcie prawie wszystkie pozostałe cech zewnętrznych miał bliskie zeru. Był jedynym graczem znanym Santanie (prócz Samuraja), który po awarii Allaha nie umarł jeszcze ani razu.

– A wirus zwierciadlany? – zagadnąłem go ponownie po deserze.

– Słuchaj... – zaczął, zmarszczywszy powoli brwi – bardziej ten gest pasował do profesora, niż nastolatka.

Pokazałem mu kartkę; zamilkł.

– W piwnicy, koło Bram, parę godzin temu – wyjaśniłem.

Kreny strzelił palcami na lokaja. Przekazał mu szeptem jakieś polecenie; Murzyn podszedł do Santany, pochylił się nad nim i chwilę coś tłumaczył – Santana wydawał się zirytowany popatrując tak na Kreny'ego nad stołem z tą swoją kwaśną miną. W końcu skinął głową. Przeprosił, wstał. Kreny wstał również. Podniosłem się i ja.

Przeszliśmy do biblioteki. Santana zapalił cygaro – plantator pełną gębą.

Za otwartymi oknami, w chłodnym wieczornym powietrzu, niosła się głośnie muzyka cykad. W oddali

rzał koń, ktoś kogoś wołał.

– Co jest, Kreny? Musisz w środku kolacji?

– Czas – mruknął Kreny i podał Santanie kartkę.

Santana odczytał wiadomość, zerknął na mnie pytająco; skinąłem głową.

– Jak dawno nie zaglądałeś do piwnicy? – spytał go Kreny.

– Cholera, ładnych parę dni.

– Szczęście, że Adrian tam zeszedł. Trzeba będzie skoczyć na Kilimandżaro i sprawdzić datę.

– Mam kalendarz tego ciągu do czterech skoków, zaraz ci powiem. – Santana odłożył cygaro, odszukał na półce biblioteczki cienką, twardo oprawioną książkę, wetkniętą między astrolabium a klepsydrę, i przekartkował ją. – Czternasty luty to był tam wczoraj rano, teraz powinien być już... – zerknął na zegar – ...dwudziesty siódmy.

Kreny rozsiadł się w fotelu.

– Zwierciadlane są powolne – rzucił.

– Nie tak wolne jak ten świat. Trzeba się zbierać.

– Może wystarczyłoby dać znać Nazgulowi? W końcu przecież i do niego dojdzie.

– Nazgul będzie wyczekiwał. Zresztą w Astro wykres magii jest płaski jak decha, może im się wcale nie rzucić. A chociażby. – Czarny odłożył książkę. – Nazgul wyczeka, żeby nam przypadkiem nie zrobić przysługi.

– Będę wam przerywał, dopóki mi nie wytłumaczycie, co się właściwie dzieje – warknąłem; ignorowanie mnie weszło im w krew.

– Czego nie rozumiesz? – westchnął Santana i zaczął mówić nie poczekawszy na odpowiedź.

Wirus zwierciadlany to wirus odbijający się na kolejne światy przez płaszczyzny Bram, zwykle w pionowym układzie ciągu. Jest mniejszy i powolniejszy od nieograniczonych praktycznie wirusów miejscowych, których przedstawiciela miałem okazję ujrzeć nad Stonehenge. Z uwagi jednak na swą zdolność rozmnażania i przekraczania granic światów oraz symulacyjną atrapową inteligencję, a przede wszystkim na niemalże ludzką zajadłość w polowaniu na graczy, stanowi on najgroźniejszą odmianę wirusa. Przybiera zwykle humanoidalną postać – potężny jest potęgą magii i w światach realistycznych znowu nie tak trudno go zniszczyć. Po każdym kolejnym odrodzeniu jest jednak coraz ostrożniejszy: teraz już w ogóle omija podobne światy. Luizjany zaś prawie na pewno nie ominie.

– Może ominie – mruknął bez przekonania Kreny.

– Aż takiego szczęścia to ty nie masz.

– To co? Emigrujemy?

Santana spochmurniał. Niby sam to zaproponował, lecz najwyraźniej przeprowadzka była mu nie w smak.

– Sam mi mówiłeś, żebym się nie przywiązywał do przedmiotów – wytknąłem mu.

Spojrzał na mnie wrogo.

– Od mezozoiku jest z trzydzieści skoków w ciągu. Jak nie więcej – rzekł z wytrenowanym opanowaniem, zastanawiając się głośno. – Mimo wszystko mamy jeszcze czas. Możemy spróbować.

Kreny popukał się w głowę. – I kto z tobą pójdzie?

– Llameth.

– Ta, Llameth pójdzie, Llameth to sadomasochista. Kto wy, Cienie jesteście? Myślisz, że we dwójkę dacie radę? – Kreny z politowaniem odwinął górną wargę.

– W odpowiednio realistycznym świecie.

– Realistyczne światy to on dawno przestał odwiedzać.

– Tchórz jesteś.

– Wiem o tym.

Santana odwrócił wzrok, poprawił mankiety.

– Ty chcesz go zniszczyć? – spytałem go, zdumiony. – Chcesz zniszczyć ten wirus, zanim tutaj dotrze, tak? Tak?

Czarny twardo milcząc potwierdził me przypuszczenie.

Machnąwszy ręką Kreny wstał i wyszedł.

Milczeliśmy nadal.

– Powiem Ausburgowi, to cię odprowadzi w jakiś bezpieczny świat poza ciągiem – rzekł wreszcie Santana, częstując mnie cygarem. – I niech ci się nic podobnego nie marzy.

Odgryzłem końcówkę, zapaliłem i oczywiście automatycznie sprzeciwiłem się Czarnemu.

– Pójdę z wami.

– Zgłupiałeś – sarknął.

– Podaj mi dwa logiczne argumenty przeciwko temu pomysłowi.

– A odpieprz się z tymi swoimi argumentami! To po prostu idiotyzm, i dobrze o tym wiesz. Nie dość, że miałbym na głowie tego cholernego wirusa, to jeszcze miałbym bez przerwy pilnować ciebie, który sam nie wiesz, czego nie pamiętasz, dopóki to po tobie nie przecwałuje. – Santana, rozkojarzony, ze ślepym gniewem odkopał zawinięty róg dywanu. – W twoim przypadku Nazgul miał rację, ty rzeczywiście jesteś chodzącą bombą zegarową! Nie będę niepotrzebnie zwiększał ryzyka. – Pochwycił moje spojrzenie. – Tak, wiem: i mówię jak Nazgul!

– Santana. Mnie nie można zabić.

To go zgasiło. Zwalił się w fotel, zagapił w noc; artystycznie wydmuchiwał dym – zaciągając się, od czasu do czasu zerkał na mnie taksująco.

– A dlaczego ci tak na tym zależy, co?

– Powiedzmy, że mam dość robienia za niepełnosprawnego nieszczęśnika, który potrzebuje niańki, żeby przejść parę Bram.

– Bo potrzebujesz.

– Chciałbym przestać potrzebować.

– A skąd wiesz...

– Nie wiem.

Uśmiechnął się, zmrużył oczy. Dźgnął w mój kierunku cygarem.

– Ty się zmieniasz, Adrian. Teraz nie udałoby mi się tak spokojnie poodcinać ci palców. Prawda? Teraz nie jesteś już taki nijaki. Zmieniasz się. Może nie pamięć, ale coś odzyskujesz na pewno.

## 16. Raj opuszczony

Llameth się zgodził, oczywiście. Pozostali znani mi gracze goszczący u Santany na wieść o zbliżającym się wirusie zwierciadlanym czym prędzej udali się do piwnicy; żaden nie wrócił. Wyjątek stanowił Maastrachni.

– Nawet jak wszyscy uciekniemy, on i tak wyczuje, żeśmy tu przebywali – powiedział Santanie. – Zniszczy wszystko i wszystkich, którzy mieli z nami styczność. – Przez „wszystkich” rozumiał ludzkie atrapy. – Zabije ją.

Santana wydał jeszcze zarządcy szereg poleceń, wygłosił kilka kłamstw na użytek miejscowych, przygotował ekwipunek... przed północą, niecałe siedem godzin od znalezienia przeze mnie kartki, i on zeszedł do piwnicy. Czekaliśmy na niego w środku heksagonu, Llameth ssał krew z lewego nadgarstka, który był sobie przeciął jednym ze swych noży. Czarny zamknął starannie drzwi, klucz wziął ze sobą.

O 23.48 czasu Luizjany przeszliśmy na Kilimandżaro.

## 17. Tropiciele

Reguły rządzące przemieszczaniem się postaci graczy pomiędzy światami Irrehaare stanowią wypadkową wypaczeń systemu spowodowanych awarią Allaha – czy, jak kto woli, wejściem Samuraja – i zaszczerpionych komputerowi fundamentalnych zasad, na których wzniesiono to królestwo marzeń. Allah starał się usystematyzować szaleństwo i przypadek – i w ten sposób powstały Bramy, ich heksagony, ciągi i pionki oraz prawa przejść. Przez Bramę nie może się przedostać żaden człowiek czy zwierzę, o ile nie jest postacią kierowaną przez gracza. Każda taka postać wkraczając do nowego świata jest automatycznie doń przystosowywana, przy czym stopień i rodzaj owego przystosowania mogą być przez nią modyfikowane – o ile jest przytomna, posiada odpowiednio wysokie współczynniki i umiejętność koncentracji w danej chwili. Odnosi się to również do wszystkich posiadanych przez nią przedmiotów czy też całych martwych wycinków otoczenia ruchomych na tyle, by przenieść się z nią za linię progów. Brzmi to jak zbiór przepisów gry – bo też tym właśnie jest.

Zabierając ze sobą żywność, zapasowe ubrania, pistolety i szable – bardziej niż o te konkretne przedmioty, chodziło nam o ich ideę: w jakimkolwiek bowiem świecie się nie znajdowaliśmy, broń pozostawała bronią, odzież odzieżą – choć zmieniały się i nasze ciała, a moje najbardziej, choć zmieniał się cały ten ekwipunek. Przechodziliśmy tam i z powrotem, od Bramy do Bramy, w ramach jednego ciągu drzewa heksagonów. Kalejdoskop: niebo błękitne, seledynowe, czerwone, brązowe i czarne; słońca i księżycy jak otwierające się i zamykające ślepie kosmosu; nagłe skoki temperatury, tortura hipotermicznych dreszczy, ciepłych udarów; miasto, pustynia, las, jaskinia, morze, wnętrze pomieszczenia. Piekielny rajd. W kilkadziesiąt minut zagęszczone godziny i dni.

Zatrzymaliśmy się, po odzieniu sądząc, w średniowieczu. Wieczór. Powietrze chłodne, wilgotne. Zachwaszczona łąka przylegająca do puszczy. Wychodząc trójtęczą z Bramy o mało nie wpadliśmy wprost w trzeszczące wysokim płomieniem ognisko. Musiało się znajdować dokładnie na środku heksagonu, wnosząc z kąta, pod jakim podchodziliśmy do Bram.

Santana potwierdził to przypuszczenie.

– Na samej osi – mruknął oglądając się na Bramy.

– Ile to skoków? – spytał Llameth, wypatrując czegoś w ciemnej ścianie puszczy. – Trzyście?

– Czternaście – poprawiłem go.

– Może byś się tak pomodlił? Co? Santana?

– Może. A może zaczekamy na tego piromana.

Llameth wywinął usta w charakterystycznym dla niego, szydlerczo-okrutnym uśmiechu. – Długo czekać nie będziemy.

Obserwowała nas jakiś czas, nim wyszła z cienia drzew. Przez ramię przewieszony miała łuk, niosła ustrzelonego zająca. Mrugnąłem: gracz.

Zająca rzuciła na ziemię przy ognisku. Łuk i kołczan zdjęła.

– A ciebie nie znam – rzekła przypatrując mi się badawczo. Dziwna była ta zaciętość, z jaką ostentacyjnie ominęła wzrokiem Santanę, nawet ja ją zauważyłem; zerknąłem na niego szybko.

Czarny, odwracając się ku mroczniejącym falom przyleśnych pól, uśmiechnął się sarkastycznie. – To atrapa, nie widzisz?

Kobieta i Llameth mrugnęli niemal jednocześnie.

– Już nie – zauważył kaleka. – Już jest identyfikowalny.

Dużo bym dał teraz za lustro.

Nie zrozumiała zapewne, o czym mówią, ale nie podjęła tematu.

– Tak sobie myślałam, że jednak pójdziecie w dół na niego.

– To ty ją pomięłaś – stwierdziłem. – Tę kartkę Cavalerra w Luizjanie.

- On się zawsze zamykał jak w twierdzy, nie chciało mi się burzyć mu tego pięknego domu. Wciąż na niego nie patrzyła, lecz wiedziałem, że mówi o Santanie. Santana był osią jej myśli.
- A co ty tu w ogóle robisz? – zagadnął ją Llameth. – Nazgul wysłał cię, żebyś na nas czekała?
- Szukam Alexa.

## 18. Miłość poza Irrehaare

Nazgul podczas kolejnej wizyty w owej świątyni w Zewnątrz wymodlił odpowiedzi na szereg nowych ważnych dlań pytań – Allah był tam ustępliwy jak nigdzie. Wypłynęła między innymi sprawa drużyny Santany. Okazało się, iż jednemu z zabitych, samemu Alexowi mianowicie, udało się wydostać z terytorium Samuraja przemykając się Obwodnicą, a potem Zewnątrzem – co notabene jest bardzo czasochłonnym sposobem podróżowania. Oczywiście było, iż, z racji takiego, nie innego przestrzennego układu drzew ciągów, pierwszy heksagon, do którego uda mu się dotrzeć, będzie którymś z heksagonów niższej części pionu Astro. Niespodziewanie Alex zyskał na ważności: był pierwszym graczem, któremu powiodła się ucieczka z imperium Samuraja do wolnych pionów okrężną drogą przez Zewnątrz. Strona, która pozna tajemnicę tej drogi, zyska możliwość niepostrzeżonego przerzucenia dowolnej liczby ludzi do centralnych światów wroga. Alex, przez zamknięte w swej głowie wspomnienie, stał się bezcenny. Nie należało liczyć, iż Samuraj nie wie tego, czego zdołał się dowiedzieć Nazgul, na pewno była już w toku jakaś kontrakcja. Tymczasem, póki nikt nie wiedział, gdzie konkretnie znajduje się Alex, nie można było mu pomóc. Rozesłano zatem tropicieli: graczy o wysokich współczynnikach intuicji, magii i szczęścia. Jak na razie jedyny skutek tej operacji stanowiła informacja o postępowaniu w górę pionu wirusa zwierciadlanego zdobyta z ostrzeżeń pozostawionych przyjaciółom Yerltvachoviciča przez jego killera. To właśnie Arianne pierwsza przyniosła ją do Star Mexico.

– I co na to Nazgul? – spytałem.

Przelknęła przeżuwany akurat kęs mięsa, nim odpowiedziała. Zapadła już noc, gorąca jasność rozskrzeczanego płomienia zaślepiła i przykuła nasze oczy, istniał tylko ten ogień – i ciemność.

– Porozysłał ludzi z poleceniem ewakuacji zagrożonych światów, ale Astro za zagrożone nie uważa – wzruszyła ramionami. – Czeka.

Arianne była niska, szczupła, ciemnowłosa; piękna wyrazistym kobiecym wyobrażeniem ideału urody. Już sama ta naddoskonałość, bez potrzeby przymykania powiek, wyróżniała ją wśród atrap. Wszyscy spotkani dotąd przeze mnie gracze mieli wygląd aniołów. Lub demonów, pomyślałem spoglądając na Llametha.

– I jak ci mówi ta twoja intuicja? – burknął. – Jest tu Alex, hę?

– Nie ma. Ale jest wirus.

Santana mimowolnie spojrział na nią, chociaż dotąd starannie tego unikał, zapewne w obawie napotkania jej wzroku.

– Skąd wiesz?

– Och, jest już trzy skoki w górę. Szłam ciągiem od Astro starając się wyczuć Alexa. Obozowałam tam właśnie między Bramami, kiedy odbiło go przez jedną z nich. Ledwo zdążyłam uciec.

– Widziałaś go??

– Schemat Kryształowego Jeźdźca. Nic nowego. Kryształowy rycerz na kryształowym rumaku. Wyżsi od Bramy. Gość musi mieć z trzy metry bez hełmu. Lanca, miecz, topór, kusza. Praworęczny. Kolczuga. Tyle spostrzegłam.

Czarny wyraźnie miał jej za złe, że nie powiedziała tego od razu. Wysłał natychmiast Llametha na krótkie skoki przez wszystkie sześć Bram, by orientacyjnie określić tempo upływu tutejszego czasu, na

wypadek gdyby przyszło nam tu stoczyć walkę. Sam odszedł na pobliski pagórek, wbił na jego szczycie w ziemię miecz i uklęknął przy nim; modląc się do Boga, modlił się do maszyny. Miały te modły na celu – jak przypuszczałem – zbadanie miejscowego współczynnika oporu magii i mityczności, a ponadto, o ile to możliwe, wywołanie proroczej wizji dotyczącej wirusa – to w ten właśnie sposób Nazgul i inni „rozmawiali” z Allahem.

Llameth w nieregularnych odstępach czasu pojawiał się, po czym znikał w następnej Bramie. Sumiennie obracałem półminutową klepsydrę za każdym razem, gdy przesypał się w niej piasek. Arianne jakiś czas przyglądała się temu. Skończywszy jeść, wstała, popatrzyła z jakimś dziwnym roztargnieniem w ogień i odeszła wolno ku zatopionemu w modlitwie Santanie. Wspięła się na szczyt i zatrzymała przed mieczem. Przez moment wyglądało to tak, jakby Czarny modlił się do niej; widziałem ich kamiennie nieruchome cienie na tle aksamitnej kurtyny nocy. Potem Santana wstał. Musieli coś mówić, ale nie dosłyszałem nawet szeptu echa tego dialogu.

Klepsydra: siódma minuta.

Llameth wyszedł z ostatniej Bramy, podkuśtykał do ogniska.

– Ile? – spytał.

– Siedem i jakieś pięć sekund.

– To daje iloraz bliski pięciu. Dość szybki świat. Nawet z poprawką na przejścia.

Zwalił się na kamień obok.

Piętnaście sekund, jakie odliczał w każdym sąsiednim świecie, po podzieleniu dawało w efekcie średnią względnego tempa upływu czasu. Oczywiście była to metoda prymitywna i zawodna, cały ciąg bowiem mógł posiadać chronopatyczną skazę – niemniej zwykle, jak mnie zapewniano, zdawało egzamin.

Llameth odszukał wzrokiem Santanę i Arianne; wyszczerzył krzywe resztki zębów.

– To dopiero, kurwa, jest para.

– Mhm?

– Oni naprawdę są małżeństwem.

– Poza Irrehaare?

– No mówię. A tutaj, już po zamknięciu, urodziło im się dziecko.

Dotarło do mnie znaczenie tych słów, lecz długą chwilę nie mogłem zrozumieć, o co chodzi Llamethowi.

– Jak to – dziecko?

– Dziecko! – parsknął. – Atrapowe! Co, myślałeś może, że ona w rzeczywistości... jak to się mówiło? ...zaszła w ciążę? Irrehaare, Irrehaare. Urodziła tu atrapę – zaśmiał się.

Cisnąłem polano w ogień.

– I co?

– Ano, zabili je. Miało już ze dwa lata. Mówiło. Tego nie mogli wytrzymać.

## 19. Czekaając

Arianne wróciła kwadrans później. Z jakiegoś powodu była z siebie niezmiernie zadowolona. Wymusiła na mnie, bym jej opowiedział o amnezji. Nawet Llamethowi, gdy ją o coś zapytał, odpowiedziała bez tego pogardliwego, opryskliwego potrząśnięcia głową, jakim obdarza kalekę większość osób wychowanych w świecie, gdzie kaleki znajdziesz tylko na obrazach Boscha.

Rankiem wycieńczony Santana zdecydował, iż przyjmiemy pojedynek z wirusem właśnie tutaj. Widział go w swej wizji, zawracającego ku heksagonowi. Wyczuł nas. Kryształowy Jeździec. Arianne bez

słowa przeszła przez jedną z Bram, wróciła, zabrała broń, mruknęła coś o Alexie, zdumiewająco ciepło pożegnała się z mężem i spruła krótką tęczę w sąsiedni sen Allaha.

Słońce wychynęło nad puszcę bladoróżowym, strzępiastym owalem. W ciemnozielonej gęstwinie budziło się dzikie życie. Przez niebo mknęły od zachodu rozgotowane zwały burzowych chmur, porywisty chłodny wiatr zmieniał się w ciężki, jesienny wicher. Czekaliśmy.

## 20. Wirus

Nadjechał od zachodu, wraz z burzą.

Rozgwieździły się nad linią horyzontu lodowo i ogniście ostre pobłyski promieni słonecznych odbijanych od kosmicznie doskonałej powierzchni kryształu, którym był; dostrzeżliśmy ich wirtualne igły strzelające nad zielone fale pól i zagrał w nas strach. Nawet Llamethowi zatrzepotały nerwowo wargi, jakby od zbyt wielu modlitw, których nie był w stanie wymówić w tej ulotnej chwili. Oto wschodziła jutrzienka mordy. Lód naszych serc skrzepnięty w myśl – z komputera wszak nie wyjmiesz więcej jak włożyłeś; wszystkie zło Allahowych wirusów zrodziło się w głowach ludzi, on je sobie tylko stamtąd wypożyczył, skopiował.

– To diabelska maszyna – kleli gracze.

– Ale maszyna – mówiłem zdziwiony. – Nie ma nawet wolnej woli.

– Przy tym stopniu złożoności i autonomiczności programów – mamrotali rozeźleni – pojęcie wolnej woli jako takiej się rozmywa, nie sposób już odróżnić decyzji od wyboru.

– Lecz skąd możecie wiedzieć, że to właśnie wola Allaha? Może spowodowane to zostało deformacjami Samuraja? Może Allah w istocie nie ma wyboru? A może i jest po naszej stronie? Jak możecie być pewni, że to jego wina?

Ale oni wiedzieli swoje. Błuzniąc Allahowi byli przynajmniej męczennikami. Usprawiedliwiali w ten sposób swoje klęski. *Allah akbar, Allah akbar.*

I teraz, widząc wyłaniającego się zza kolejnego pagórka Kryształowego Jeźdźca, zrozumiałem ową fatalistyczną desperację, która stała się już ich cechą narodową, wspólną cechą przeklętego u zarania ludu Irrehaare. Wżarty w mózg każdego z nich, zasysający wszystkie myśli i uczucia, ten elektroniczny robak, śmiertelny guz, pośrednicząc między nimi a już abstrakcyjnym, bo tak potężnym SYSTEMEM, władny jest jednym krótkim impulsem strącić ich na samo dno piekieł, poddać najgorszym torturom, wypruć z nich i uczynić rzeczywistością najgłębsze ich lęki. A oni nie mogą na to nic poradzić.

W rzeczy samej, *Allah akbar.*

Jeździec był coraz bliżej.

Diamentowy pryzmat w płynnych transformacjach galopujący równym tempem. Koń człowiek: jedna całość. Jedna przelewająca się nieprzerwanie z kształtu w kształt szklana rzeźba. Bo tym właśnie był, on i zwierzę, a w gruncie rzeczy jednolity wirus – rzeźbą, szkłem skłętym w wieczne niedoformowanie, żywym, roztopionym a zimnym; obcym programem szalejącym po pamięci operacyjnej Allaha. Kryształowe kopyta rumaka wyrzucały w powietrze grudy ziemi, odbijała się w jego ciele zieleń trawy, przepelzały po zbroi Jeźdźca mdło rozlane przez nieregularną taflę zwierciadła odbicia nieba i pożerających je chmur. Fakt, iż koń, rycerz, jego broń, ekwipunek, siodło – wszystko to stanowiło żywokryształową jedność, skąpaną w sekundowych świetlnych refleksach, malowaną bezustannie różnokolorowymi plamami lustrzanych obrazów, fakt ów znacznie utrudniał jakiegokolwiek dokładniejsze przyjrzenie się wirusowi. A pędził on ku nam niezmordowanie utrzymując tempo dzięki szarzy: diamentowe nemezis. Zdołałem jednak wypatrzeć podstawowe różnice między nim a jego wyższą historycznie wersją opisaną przez Arianne. Miast lancy miał kopię, miast kolczugi pełną zbroję; u siodła

wisiała tarcza. Jechał z podniesioną przyłbicą. Twarz, jako powierzchnia o zbyt wielkim nagromadzeniu fałd, wklęsnięć, wypukłości i spaczeń, tak odbijała i załamywała światło, że nie sposób było w tym promiennym obliczu rozpoznać więcej jak dwa płytkie ściemnienia oczu i płaski dodatkowy pryzmat ostrego, orlego nosa.

Wirus na tyle się już zbliżył, by wzrok mógł go wpisać w perspektywę: miał jakieś pięć metrów, pięć i pół; jeszcze wyżej wznosił się grot wspartej w kapturek przy strzemienu kopii.

– I nie zgrywać mi tu niezwykniętych; jakby co, od razu w Bramy. Nie wychodzić poza heksagon.

Llameth mruknął potakująco. Ja, który Bram nie dostrzegalem i musiałem sobie pooznaczać ich krańce kamieniami, tylko wzruszyłem ramionami.

Santana zachnął się. – A ciebie to ja w ogóle nie rozumiem. Po cholere się wepchnąłeś w tę jatkę?

Sam nie wiedziałem, więc nic nie odrzekłem. Podjąłem decyzję w ułamku sekundy, w chwili irracjonalnego buntu przeciwko przeznaczeniu, w chwili absolutnej frustracji – a potem nie bardzo już miałem jak się wycofać: klasyczny kliniec ambicji i dumy.

Santana wyjął zza cholewy kościaną różdżkę. Poślinił jej koniec, chuchnął.

Sto metrów od heksagonu Kryształowy Jeździec zatrzymał się. Wbił kopię w ziemię i wyciągnął przezroczysty miecz.

Czarny oblizal spierzchnięte wargi. – Aa, do diabła z tym.

Tak naprawdę miał to wszak być pojedynek pomiędzy nim, a wirusem, starcie w komórkach procesora ich tajemniczych współczynników.

Santana spojrzal w niebo, szepnął doń coś i wiatr zmienił kierunek, chmury poczęły się cofać.

Jeździec wrzasnął; był to długi, modulowany, wysoki wrzask, nie zawierający żadnych konkretnych słów, zbudowany na głosce *ae*, wznoszący się i opadający wraz z migoczącą w szklanej dłoni igłą miecza. Coś zaczęło się dziać z ziemią wokół nas – jakby się rozgotowała. Santana splunął na nią; nie uspokoiła się. Jeździec wciąż krzyczał. Ucichł i zamarł od tego krzyku las, zgubił się wicher. Santana splunął ponownie – a ziemia gotowała się coraz mocniej. Tłuste, ciężkie jej fontanny, cuchnące torfem i zgnilizną, strzelały już ponad nasze głowy, utrzymanie równowagi stawało się z sekundy na sekundę trudniejsze; przerażające było to lokalne trzęsienie ziemi.

– Stop. – powiedział wreszcie Czarny.

Zapadła cisza. Grunt znieruchomiał.

Santana zwałił się na kolana.

– Uważajcie na jego tarczę. – rzekł, rozpaczliwie łapiąc oddech.

Bo Jeździec już szarżował. Miecz odchodzący ukośnie w bok, jak asymetryczny statecznik.

Przyłbiczne lustro na twarzy. Ostra krawędź tarczy tnąca powietrze. Dzikość diamentowego wierzchowca. Złota aureola sieci świetlnych refleksów. Brak cienia.

Wspiął się na wzgórze, gdzie Santana odprawiał był swe nocne modły. Po czym spadł zeń na nas w straceńczym galopie. Nie słyszeliśmy charkotliwego zdyszenia konia, bo też i koń nie oddychał, będąc, podobnie jak sam rycerz, martwą masą. Widzieliśmy natomiast przestrzeń za nim, krzywo i aperspektywicznie spryzmatowaną.

Później, wyławiając z pamięci zmatowiałe już nieco te sceny, oceniałem, iż cała walka, od chwili jego wjechania w heksagon, nie trwała dłużej jak minutę. Siłą rzeczy, samemu odgrywając w tym przedstawieniu rolę, nie widziałem go całego, a i te fragmenty, które zarejestrowałem nim opadły w miękką glebę niepamięci, zostały przefiltrowane i zdeformowane subiektywnością mego punktu widzenia.

Wspomnienia – obrazy – jak kadry wycięte ze zbyt wiele razy oglądanego filmu.

Llameth w krzywych piruetach schodzący Jeźdźcowi z drogi. Santana odtaczający się w tęczę i w Bramę. Jeździec powstrzymujący i obracający konia. Llameth tnący jedną ze swych krótkich szabel

przez jego pęcinę; pojawiająca się na jej szkle, jak od ogniowej skazy, czerwona pręga. Straszliwe cięcie kryształowego miecza. Santana wysoką smugą kolorów wystrzeliwujący z Bramy. Santana śpiewający, płonąca jego różdżka. Taniec przeźroczystego wierzchowca. Odcięta ręka Czarnego, jeszcze na ziemi rozwierająca i zaciskająca palce na różdżce. Skok Llametha, skaza przez lustro zbroi. Santana tracący przytomność w trakcie rozpaczliwego podczołgiwania się ku Bramie. Obrót olbrzymiego zwierzęcia i szarża na mnie. Blask wielkiej, płaskiej tarczy, odbicie w której unieruchamia każdy przedmiot z siłą proporcjonalną do jego masy. Mój strach niczym jeszcze jeden obraz: dymna szarość odczuć. Mój miecz, którego imię brzmi Niemoc. Uskok. Drgnięcie tarczy. Szarpnięty w pół kroku prawie nie mogę się ruszyć, związany ubraniem i orężem. Tratowany Llameth – mimo to, w jakimś dzikim, chorobliwym rozedrganiu wszystkich członków, siekący raz za razem brzuch konia; splot powidoków błysków jego szabel na mej siatkówce. Widoczne przez szary dym hysterii, porozrzucane i pozasypywane wrzieniem ziemi, kopce kamieni. Uwolniony z okowów lustra tarczy; kryształowa klinga w moim brzuchu. Zgniłozółty zapach mych wnętrzności. Ziemia. Ból: siedem głów, czarne kły, ślepe oczy, tysiące macek. Jeździec, czerwienią skaz cięć Llametha zmuszony do przełożenia broni do lewej ręki, nie mogący poruszać głową; jego koń, atakiem kaleki i czarami Santany przelewający się w bezkształtne monstrum, jak ślimak, co zapomniał nagle, kim jest – paczy się, potwornieje i pęcznieje. Rycerz z trudem zsiadający zeń: rozłączenie się dwóch szklanych brył. Rycerz: diamentowy Goliat. Nade mną. Kat. Doskonałość brzeszczotu. Jestem nieśmiertelny, jestem nieśmiertelny, nie można mnie zabić! Rozsyp się! Rozbij się! Roztłucz! Szszztrszszsz... Deszcz szklanych okruchów. Na miriady brylantów. Srebrzy się i złoci kryształowy dywan. Pętla mych wnętrzności niszcząca jego artystyczny porządek. Czołgający się na ślepo ku zmartwychwstaniu. Rozwłócone wszędzie wokół zwłoki Llametha, dematerializujące się nagle. Tęczy. Tęczy. Chcę się rozpleść w gobelin barw. Ta chęć: czarna, lodowata, matowa. Brama: blade obraz innej rzeczywistości, wpisany w błyszczące purpurowo, prostokątne ramy.

## 21. Santana niezrozumiały

Jednak odzyskał przytomność i udało mi się go wywlec z tego świata i ściągnąć z powrotem. Patrzył na mnie, oszołomiony; tym razem to ja biłem go po twarzy, by wytrącić z omdlenia, w którym myśli nie mogłyby odtworzyć jego ciała.

– Co się stało? – spytał. No i nie wiedziałem, co mu właściwie odpowiedzieć.

Szklany piasek chrzęścił pod naszymi stopami. Po Jeźdźcu, koniu i Llamecie nie pozostał żaden więcej ślad. Krew kaleki zniknęła, jako część jego zwłok, w chwili śmierci. Krew Santany z powrotem krążyła mu w żyłach: prawo zachowania masy i energii obowiązuje również w Irrehaare.

– Co się stało? – powtórzył po głębokim wdechu.

Podniosłem swój miecz, wsunąłem do pochwy. Jemu podałem różdżkę. Spojrzał na nią z roztargnieniem. Potem spojrział na szklany miąż. Myślał.

– Llameth zginął – to było stwierdzenie.

– Rozumiesz...

– To ty załatwiłeś wirus. Amnezję się ma, amnezję, co? Kurwa, trzeba było takiego idioty jak ja...

Chwyciłem go za ramię – odskoczył.

– Wiem! – syknął przygryzając dolną wargę. – Wiem! Ty jesteś Samurajem! Tylko Samuraj mógłby utrzymać, mimo przejść, iluzję postaci, tylko jego nie złamałyby Bramy, tylko on może mieć władzę nad wirusami! Tylko on jest nieśmiertelny; wszyscy przecież wiedzą: nigdy nie umarł, jest niezwyknięty. Samuraj!

Tak mnie zaskoczył absurdalnością tego oskarżenia, że nie zdołałem nawet wykrztusić prostego

zaprzeczenia. Ruszyłem ku niemu, ale ledwo postąpiłem krok, on wyciągnął i skierował na mnie swą różdżkę, która ponownie zapłonęła na jedno jego słowo.

– *Szekałakk-szekałakk.*

Poczułem, iż to zaklęcie, jakikolwiek byłby jego cel, jest w istocie skierowane przeciwko mnie i w myśli, poniekąd instynktownie, ten drugi, szybszy, mądrzejszy i bardziej doświadczony ja krzyknął: – *Nie!*

Na czoło Santany wystąpił pot.

– Wiedziałem – mamrotał. – Wiedziałem. Samuraj. Chryste Panie, ja... – Wyglądał jakby został opętany.

– Co ty pieprzysz? Jaki Samuraj?!

Ale on się już spruwał w inny świat – widziałem go poprzez okno Bramy: wyspa na jeziorze, trzciny, gniazdo czajek.

Nie dogonię go, tego byłem pewien; nie mam wprawy w tropieniu przez ciąg, a on w każdym heksagonie posiada pięć różnych dróg ucieczki do wyboru, i on ma wprawę.

Nogi się pode mną ugięły. Usiadłem ciężko w diamentowym pyle.

## 22. Cavalerr: upokorzenie

Zwały burzowych chmur, odegnane czarem Santany, majaczyły już daleko na horyzoncie. Wiatr ustał. Zrobiło się cieplej – słońce grzało z letnim natężeniem. Siedziałem na środku roziskrzonego szaleńczo kobierca i próbowałem zebrać myśli.

Teoretycznie potrafiłbym wrócić do Luizjany, nawet do Astro. Tylko po co? Santana zdąży tam przede mną: zastanę już odpowiedni komitet powitalny. Nie ulegało również wątpliwości, że i tutaj wkrótce pojawią się łowcy. Ciąg został uwolniony od wirusa, z chwilą zniszczenia jednego z nich, zgasły wszystkie odbicia i teraz każdy może sobie swobodnie polować na Adriana-Samuraja, atrakcję sezonu. Nazgul zapewne wyda taki rozkaz! Także jeśli nie uwierzy Santanie – bo błąd w przypadku pomyłki zbyt drogo by go kosztował: taka gratka, Samuraj uwięziony na ich terytorium, sam jeden. Owe trzy wolne, lecz kontrolowane przejścia na ciągi graniczne, od teraz będą kontrolowane tak dokładnie, że już w ogóle nikt się przez nie nie przedostanie – wszak Samuraj to mistrz iluzji! No jasna cholera. Co temu Santanie do łba strzeliło? Cóż ja mam teraz począć? Nieśmiertelny, ładna mi pociecha; nieśmiertelny, ale nie nietykalny. Zewnętrznie? Nawet wiem o nim mało.

Zdążyłem podjąć dwie decyzje – natychmiastowego oddalenia się od heksagonu i odprawienia modłów dla uzyskania od Allaha wizji-rady – gdy z Bramy za moimi plecami wynurzył się jakiś człowiek, wyczułem to przez zawirowanie powietrza.

Błysnęła mi – i zaraz zgasła – kwaśna myśl o Llamecie; lecz chociaż istotnie odradzał się on w tym ciągu, w wysokim świecie pełnym obozów koncentracyjnych, co wiedziałem od Klary – to i tak w żaden sposób nie zdołałby wrócić tak szybko. Więc kto? Santana?

Odskokczyłem w bok, obróciłem się; ręka na głowicy miecza.

Ale to nie był Czarny, ani Llameth, ani żaden znany mi gracz.

– To tutaj, co? – mruknął, zbierając z ziemi garść kryształowych ziaren. Nie spuszczał ze mnie oczu.

Symulacyjna mapa genetyczna jego postaci musiała być istnym amalgamatem genotypów osobników wszystkich możliwych ras świata, fenotyp siłą rzeczy nie odpowiadał żadnej. Wysoki, szczupły, zielonooki, jasnowłosy, sucho umięśniony. Zbyt płynnie się poruszał. Odziany był w dziwną kombinację obcisłego stroju myśliwskiego i lekkich, orientalnych szat. Jego długi, wąski miecz zdradzał pewne podobieństwo do mieczy samurajskich. Niewątpliwie miał wysokie współczynniki, skoro zdołał

utrzymać, mimo przejść, taką powierzchowność.

Arystokrata.

– Widziałeś tych, co go załatwili?

– Kim jesteś?

Otrzeptał dłonie i spojrział mi w oczy.

– Cavalerr.

Musiał czekać na śmierć wirusa gdzieś w tym ciągu, inaczej nie zjawiłby się tak szybko. Jakie rozkazy dostał od Yerltvachovičiča?

Yerltvachovičič!

– To ja jestem tym pozbawionym pamięci nieśmiertelnym od Santany – powiedziałem. Wyliczyłem, iż do Cavalerra Czarny najprawdopodobniej nie zdążył dotrzeć ze swymi paranoicznymi podejrzeniami. Zresztą i tak nie miałem wyboru. – Mógłbyś może zaprowadzić mnie do Yerltvachovičiča? Bardzo mi na tym zależy.

Dziwnie to zabrzmiało.

Uśmiechnął się drwiąco. – A Santana?

– Co: Santana?

– Wyrzucił cię? Zaczął nagle podzielać zdanie Nazgula, hę?

Skłamałbym, tylko że pojęcia nie miałem, jakie kłamstwo go uspokoi; kłamstwo posiada tę przewagę nad prawdą, iż potrafi zadowolić obydwie strony, podczas gdy prawda najczęściej nie zadowala żadnej – lecz by skutecznie łączyć, należy znać te oczekiwania stron, a ja po prawdzie nie znałem nawet własnych.

– Twierdzi jakobym był Samurajem – powiedziałem. – Że niby od początku mamie go iluzją; bo to ja zniszczyłem ten wirus.

– Jak?

– Sam nie wiem. No, zaprowadzisz mnie? Chcesz? – oddam ci broń.

– Ty szukasz azylu. – Ten uśmiech; dłoń na rękojeści, stopa w przodzie. To pali.

– Tak.

– Niczego ci nie mogę zagwarantować, nawet tego, że Yerltvachovičič w ogóle cię przyjmie, nawet tego, że cię wypuści.

– Zdaję sobie z tego sprawę – pochyliłem głowę.

Strzelił palcami i całe szkło wirusa, niby stado kryształowych dżdżownic, w okamgnieniu wkopało się w glebę, i tak spulchnioną niedawnym wrzeniem. W ciszy.

– Na wszelki wypadek – wyjaśnił Cavalerr. – Nie chcemy przecież niezdrowego zaciekawienia miejscowych okolicą heksagonów. Prawda?

## 23. Między pionami

Więc poprowadził mnie: weszliśmy w Bramę; szalała za nią burza.

Dalej, w tym ciągu – w bok i w górę. Na wysokości dwudziestego pierwszego wieku przedostaliśmy się na drugą półkulę, do Brazylii, korzystając z błyskawicznego lotniczego połączenia; mieścił się tam heksagon ciągu *Black Two*. Właśnie z uwagi na możliwość szybkiego przemieszczania się na duże odległości, dokonywano zwykle podobnych przeskoków w światach wysokich. Na tym samym poziomie drzewa przeszliśmy przez trzy kolejne ciągi i wzdłuż osi *Mystic Zero* zaczęliśmy schodzić w dół.

W czterdziestym drugim skoku miniliśmy granicę pięćświatowego dominium Yerltvachovičiča.

## 24. Adrian i Yerltvachovič

Oto znów nadchodził deszcz. Piętrzyły się chmury nad chmurami nad chmurami na szaroniebieskim niebie. Z okna mej celi widać północny brzeg rzeki i mgielny zarys odległych gór, z których spłynęły burzowe fronty. Nie było ono zakratowane ani na tyle wąskie, bym nie mógł się przezeń precyzyjnie, jednak kilkudziesięciometrowa przepaść dzieląca jego od ziemi skutecznie zastępowała wszelkie zabezpieczenia.

Luksusowa – ale cela. Jej drzwi nie posiadały nawet klamki. Lecz nie posiadały również judasza. Czasami się zastanawiałem, czy owo potężne złożone lustro wiszące na zachodniej ścianie, którego nie sposób poruszyć, nie jest przypadkiem lustrem jednostronnym, a w istocie z drugiej strony oknem. Lecz ten świat znajdował się na to chyba na zbyt niskim poziomie. Wprawdzie nie mogłem go jakoś dokładniej umiejscowić w drzewie, ale wnioskując po tym, co wiedziałem o Yerltvachoviču, układałem go sobie w drugim, trzecim wieku.

A niewiele wiedziałem; w ogóle nie zdążyłem się z nim spotkać. Cavalerr od razu zaprowadził mnie do tej wieży. Nie zdziwiło mnie to, nie zaniepokoiło: nawet broni mi nie odebrał. W podobnych sytuacjach miecz nie na wiele się przydaje, co najwyżej można sobie nim flaki wypruć, lecz Cavalerr miał pewność, że będąc nieśmiertelnym i w ten sposób mu nie ucieknę. Mógłbym się też rzucić z okna, roztrzaskałbym się jednak na bruku na miazgę i mało by mi przyszło z tego, iż jako miazga pozostaję przytomny.

Te chmury. Wolalbym nie mieć okna. Wiatr pachnący rzeczonym mułem.

Przehandluje mnie Yerltvachovič Nazgulowi albo Samurajowi. Będą mi podrzynać gardło. Obcinać palce.

Tylem do drzwi siedziałem – ostrzegł mnie dopiero przeciągły pisk zawiasów, który znałem dobrze z wizyt strażników przynoszących jedzenie. Wstałem. Znajdował się już w środku, zatrząskiwiał drzwi za sobą. Obrócił się, uśmiechnął, wygładził szatę. Zobaczyłem bliznę na jego dłoni, jak monetę.

Yerltvachovič był bodaj jedynym graczem używającym w Irrehaare swego prawdziwego nazwiska, a nie nazwiska postaci, albowiem postacią, którą kierował, był Jezus Chrystus. Zaraz po awarii wyróżnął wszystkich innych Chrystusów i tak oto pozostał jedynym Synem Boga. A niezła musiała być to rzecz; z uwagi na duże zapotrzebowanie Irrehaare wykreowało tyle tego typu wizji, że samych chrześcijańskich pionów mitycznych powstało kilkanaście. Wykończył więc co najmniej z tuzin Mesjaszy. Zdawałem sobie sprawę, iż ktoś, czym największym pragnieniem jest umrzeć w męczarniach na krzyżu, przeżyć swą śmierć (może to stąd Allah miał jej algorytm!) i powstanie z grobu – nie może być zdrów na umyśle. Jednak Yerltvachovič był oryginałem wśród oryginałów – krążyły plotki, że jego współczynniki przewyższały i współczynniki Nazgula.

Brody nie miał, włosy nosił zebrane na karku; ostrość semickich rysów znaczyła jego twarz zwierzęcą drapieżnością, której uśmiech nie łagodził. Gdy splótłszy na piersi ramiona, usiadł w fotelu, ze swobodnie wyciągniętymi nogami, niemal widziałem obracające się w jego myślach, pogrążone w zaropiałych ranach, jasne klingi noży.

– Ja wiem, że nie jesteś Samurajem – rzekł.

Sam już zaczynałem w to wątpić.

– Ale Nazgul o tym nie wie i nie da się przekonać, a już na pewno nie Czarny Santana. Zresztą chodzi tu nie tyle o przekonanie, co o cel polityczny – uśmiechnął się szerzej. – Znaleźli Alexa i szykują poprzez Zewnętrzne atak na Samuraja, a ty jesteś tym, co ruszy ludzi, którzy mieliby wątpliwości co do sensu nowej wojny. Oto, jak można wierzyć zapewnieniom nieprzyjaciela: we własnej osobie szpieguje nas, kłamie i mami. Inna rzecz, że Nazgul częściej i jaskrawiej łamał układ. Kwestia propagandy. Trzeba mieć jakieś priorytety, nie?

– Nazgul zapewne o tym tylko marzy, abym tkwił tu w zamknięciu, pozbawiony możliwości zdementowania kłamstw, poza zasięgiem zemsty ich żołnierzy. Nazwisko i symbol, nic więcej – wymamrotałem, przypatrując się Yerltvachovicičowi spode łba.

– Ja nie popieram żadnej ze stron.

A skąd wiesz, że nie jestem Samurajem? – pomyślałem. Musiałeś się z nim kontaktować.

– Popierasz. Nawet mimowolnie – powiedziałem siadając na łóżku naprzeciwko niego. – Jak rozumiem, dzięki mnie Santana wrócił do łask.

Zmarszczył brwi, ponuro spojrział na chmury. Zdeprymowała mnie nagła zmiana nastroju, charakterystyczna dla osób niezrównoważonych psychicznie.

– Taki wiersz – powiedział cicho. – Przemiany. Czarem świtu – roślina w zwierzę, zwierzę w inne... Bez przeszłości. A ty – w jakiej swą duszę sparzyłeś pokrzywie, że pomykasz ukradkiem i na przelaj miedzą? I czemu wszyscy na cię patrzą podejrzliwie? – pochylił się, wbił we mnie ten wzrok hipnotyzera. – Coś o tobie nocnego wbrew twojej woli wiedzą... Nie pamiętasz wszak siebie, świt życia zabił ci pamięć.

Pamiętam – słowa otwierają we mnie bramy świadomości – pamiętam wszystkie wiersze świata; coś straszego, jakiś wulkan niemożliwości wzbiera we mnie. Com uczynił, że skroń dłońmi uciskam obiema? Czym byłem owej nocy, której dziś już nie ma?

– Mógłbym cię zamordować jednym słowem – mówi i patrzy na mnie wyczekująco.

A ja wiem, że to kłamstwo, że to test. I że go nie zdam, bo nawet nie rozumiem. Za żadną z bram mej świadomości nie stoi śmierć, nie widzę jej, a póki nie widzę, póki nie zostanie otwarta ta brama – jestem nieśmiertelny; to też wiem. I niewiele więcej. Wrota do mych wspomnień nie są zgrupowane w heksagony i piony, włamywać się do nich trzeba pojedynczo.

Zbudził we mnie lęk przed sobą, ten dziki, tajemniczy Yerltvachovicič. On potrafił otworzyć me wnętrze, czego ja sam nie potrafiłem – a to władza większa od władzy nad życiem i śmiercią. Nie zamorduje mnie jednym słowem, ale może mnie jednym słowem z martwych, z zapomnianych podźwignąć, a ja nie wiem, co to za słowo. Nie wiem, kiedy je wypowie. Powiniennem zatkać uszy.

Nie zatkałem.

Wyprostował się, zmienił wyraz twarzy.

– Jednego wirusa już widziałeś, prawda? – zagadnął. – Są wirusy i wirusy. Szedł kiedyś przez ciąg futurologiczny wirus potęgowy. Spotkałem go nad Saturnem; polowałem nań. Wyszedłem z Bramy za Pasem małym statkiem, zacząłem się pod biegunem. Wynurzył się zza pierścienia. Swą masą zaburzał orbity jego lodowych skał. To była mucha. Mucha. Wielka jak Tytan. Poruszała odnóżami, błyskała skrzydłami. Widziałem jej cień na powierzchni planety. Inny wirus, statyczny: starszawy prorok, co objawił się w jednym z pionów fantasy. Nic szczególnego. Chodził i nauczał. Każdy gracz, który wdał się z nim w dłuższą rozmowę, wkrótce potem wieszał się na drzewie albo wypruwał sobie flaki. Są wirusy i wirusy.

Pojęcia nie miałem, o co mu chodzi, lecz nie przerywałem. Teraz przynajmniej nie wiercił nożem słów w ranie mego umysłu. Niechby mówił.

– W Irrehaare nic nie jest takie, jakim się zdaje. Wszystko jest możliwe. Allah, na przykład. Czymże jest Allah? Komputerem? Maszyną? Dobrze, maszyną, ale w czym go ta jego mechaniczność czyni zasadniczo różnym od naszej organiczności, jeśli efektem i tej, i tej ewolucji jest myśl? Tak się zastanawiam – z jakiej racji wewnątrzprocesorowe impulsy elektryczne, ten piasek myśli, uznawane są za gorsze od impulsów przebiegających po neuronach? Irrehaare uczy szaleństwa marzeń, nieograniczoności wyobraźni.

– Znam tę teorię: Allah zwariował, to wszystko jego wina, przeklęty komputer.

– Nie. To nie ma znaczenia. Pozory; za bardzo im zawierzyliśmy. Sami zbudowaliśmy sobie prawa i zakładamy, że są one prawami Allaha. Ale pomyśl: w Irrehaare Allah jest wszechwładny. Co mu

przeszkodzi w stworzeniu takiego wirusa, który przechodziłby przez Bramy jak gracz? Który byłby identyfikowalny? Który stanowiłby pełną projekcję postaci kierowanej przez niego samego? Nic. W świecie rzeczywistym doskonale wiemy, co jest możliwe, a co niemożliwe, i nawet ludzie wierzący w istnienie jakiejś wszechmocnej potęgi nie kwestionują praw przyrody. A w Irrehaare muchy mogą zjadać planety. Irrehaare posiada prawdziwego Boga, absolutnego pana i władcę każdej myśli jego mieszkańców.

– Taa, przeklęty komputer.

– Mówiłem – nie o niego mi chodzi – powtórzył z naciskiem. – Chodzi o ciebie.

Musiałem to powiedzieć patrząc mu prosto w oczy:

– Ty myślisz, że jestem wirusem. Atrapą doskonałą. Oszustwem Allaha.

Znów spojrział w okno.

Wirus! Atrapa! Przynajmniej nie Samuraj. Kim będę jutro?

Yerltvachovicić nie zdawał sobie z tego sprawy, a i ja nie do końca rozumiałem własną reakcję – ale to właśnie poczucie obrazy wywołało we mnie wściekłość. Potem zorientowałem się, że był to pierwszy wybuch wściekłości w moim pamiętanym życiu.

– Ty skurwysynu – szepnąłem miękko, przekrzywiając głowę. – Ja naprawdę istnieję.

Bo czyż można kogoś obrazić mocniej niż negując jego człowieczeństwo?

Ale on się tylko uśmiechnął.

– A gdybyś nie istniał – podjął. – Gdybyś nie istniał i każda twoja myśl i impuls uczuciowy, echo instynktu, gdyby wszystko to było symulacją Allaha? W jakim sposób mógłbyś się o tym sam z siebie dowiedzieć?

– Mam udowodniać, że nie jestem wielbłądem?

Pogrzebał małym palcem w głębokiej ranie we wnętrzu swej dłoni.

– Konta – powiedział z naciskiem wpatrując się we mnie z wampirzą intensywnością. –

Nieskończone ciągi liczbowe. Gęstość pakowanych w mrok terabajtów. Pamięć nieskończona. Gorąca ciemność informacji: jeden zero jeden zero zero jeden jeden zero jeden zero... Pamiętasz? Samorodny, z nocy bezwoli poczęty. Bit z bitem. Mapa wszechwiedzy. Ty nie możesz umrzeć, nie w Irrehaare. Masz tę przewagę nad ludźmi. Paradoksalnie, ty jako twór sztuczny, możesz zadać sobie pytanie: po co istniejesz?

Znów, znów to robił. Gotowały się we mnie obce wspomnienia. Kłuł się w mej głowie jakiś potwór, jakieś przeraźliwe monstrum rzygające słowami, obrazami, dźwiękami. Tonąłem.

– ...Pamiętasz? Chłód marsjańskich nocy. Śmiertelne ciśnienie wód głębin oceanów. Trójwymiarowa mozaika wszechświata. Smak jagód, smak cudzej krwi. Pamiętasz?

Mówił i mówił.

Zamknąłem oczy, przycisnąłem dłonie do uszu. Zacząłem krzyczeć, żeby zagłuszyć te słowa, od których nicował mi się umysł. To dlatego wrzeszczą szaleńcy.

W końcu zabrakło mi tchu.

– ...cię odwiedzać. Adrianie.

Trzask drzwi.

## 25. Na warsztacie

I odwiedzał mnie prawie codziennie, zwykle po śniadaniu. Wchodził bez zapowiedzi, niespodzianie. W końcu, wietrząc w tym szansę ucieczki, specjalnie wyczekałem na jego wizytę – i ujrzałem, iż podobnie jak podczas podawania posiłków, przed otwarciem drzwi celi zamykano dokładnie jeszcze

potężniejsze drzwi jej przedSIONKA. Ta swoista śluzka odcinała mnie od świata – dzikie zwierzę zarażone śmiertelną chorobą.

Yerltvachovič próbował zaszczepić mi szaleństwo, moją chorobą był brak psychicznej choroby. Zatruc mnie próbował. Sączył, sączył te słowa – słowa – słowa – słowa, od których ścinały mi się myśli, buzowała pamięć, strzelały ognistymi racami wspomnienia zdarzeń, w których nie mogłem odnaleźć siebie. Lśnienie kling tych noży! Obrót: zapach, dotyk, obraz, którego pamiętać przecież nie mogę! To jego magia, współczynniki Syna Bożego. Może zrobić ze mną, co zechce – tak, tak, to on jest mym Allahem.

No i spróbowałem go zabić. Tylko odsłonił zęby: rzuciło mną o ścianę. Splunąłem, w ślinie była moja nienawiść. Skrzepła w krwawego chrabąszcza, który pognał natychmiast ku jego nodze. Wtedy zobaczyłem strach w oczach Yerltvachoviča. Klasnął i teleportował się. Huknęło rozprężające się powietrze. Uciekł, uciekł przede mną. Zachichotałem. Chrabąszcz wrócił do mnie i zjadłem go.

Odwiedził mnie nazajutrz, była to już jedenasta wizyta. Miał na głowie koronę cierniową: palcem nie mogłem ruszyć bez pozwolenia. Odtąd on mówił, ja nawet nie byłem w stanie zatkać sobie uszu. Mówił i mówił – me usta odmrażały się jedynie wtedy, gdy chciał bym odpowiedzieć, co nie zdarzało się często.

Słowa; rozpruwał nimi mój umysł. Rzekł: „syjonik” – i oto otwierały mi się pod czaszką gejzery wspomnień. Informacji. Nagle wiedziałem, co to jest, ów syjonik, jak działa, do czego służy; znałem jego budowę aż po struktury subatomowe; rozumiałem konsekwencje i przyczyny jego stosowania, zagrożenie telepatyczną inwigilacją, konieczność dublowania procesów myślowych polityków. Ta wszechwiedza, absolutyzm poznania, straszliwa bezosobowość napływających wrażeń; do tego jadowity uśmiech Yerltvachoviča, jakim kwitował przerażenie i nienawiść przemykające po mej twarzy: wreszcie obcość samego siebie, tej sztucznej tożsamości, spętanie myśli... Ja chciałem umrzeć, naprawdę pragnąłem śmierci, rzeczywistej, fizycznej, szlochałem bezsennymi nocami za dezintegracją ciała i umysłu. Wtedy, tak, wtedy gotów byłem na wszystko. Pozbawiony kształtu, imienia, przeszłości, osobowości, pewności istnienia. Nieśmiertelny, uwięziony w nieśmiertelności – pozbawiony także tego jedyne pewnika każdej żywej istoty: stałej niebytu.

## 26. Zagubiony

Owego ranka, ocknąwszy się z gorączkowego majaku, z którego nie zapamiętałem nic, prócz strachu, ujrzałem w oknie kraty. Zniknęła też z mej celi większość ruchomych przedmiotów, zniknęła broń. Zbyt późno pojąłem cel tych zmian. Yerltvachovič zamknął już za sobą drzwi, skrzepnięta krew z jego korony unieruchomiła mnie. Teraz, gdy przynajmniej wolność w Irrehaare znalazła się w zasięgu mej ręki, nie mogłem nawet rozpruć sobie brzucha.

– Nie mam już więcej czasu – rzucił. – I tak za szybko to robiłem. Nie powinno to tak przebiegać. Za szybko. Musisz już odejść. Nie będę mógł cię powstrzymać, jeśli zechcesz strzelić sobie w łeb. – Zaśmiał się, oparł o ścianę przy oknie, drwiąco spojrzął na kraty i z rezygnacją potrząsnął głową. – Słabą mam nadzieję, że rzeczywiście to zrobisz. Nadal nie wierzę Samurajowi. Ale nie chciałem ryzykować. Taka szansa – mówił do cieni nagromadzonych u swoich stóp. – O co mu chodzi? Nazgula się boi? Taka szansa. A właśnie teraz możesz wszystko zepsuć... – oderwał się od muru, zaczął chodzić tam i z powrotem: okno – drzwi; sucho szeleściła jego jasna szata. – Zawsze może się okazać, że Allah istotnie jest żądnym krwawych myśli elektronicznym potworem! – zerknął na mnie z samoszyderycznym skrzywieniem ust. – Wiesz, przez moment ci nawet współczułem, przez moment zazdrościłem. Adrian. Skąd ci przyszło do głowy to imię? – zawrócił do wyjścia, w progu zatrzymał się. – Kongo – rzekł patrząc mi w oczy; pod powierzchnią mych myśli otwierały się nowe stare rany. – Podziemne laboratorium.

Sekwenser genów sprzężony z międzybramowym generatorem chaosu. Inkubator. Co myślisz, Adrianie? Co myślisz? Co czujesz? Jeśli czujesz cokolwiek.

Wyszedł, a ja nie mogłem się poruszyć.

I cóż z tego, że przypomniałem sobie teraźniejszość, świat. Cóż z tego, że znałem odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie potrafiłem zadać, prócz pytania o tożsamość? Jeśli to właśnie – moje imię – stanowiło jedyny punkt odniesienia dla całego tego morza informacji.

Nic nie jest takim, jakim się wydaje.

Irrehaare.

Wrzasnąłem. Rozwinąłem kolejny papirus pamięci, a tam napisano, iż posiadam władzę zrzucenia, skruszenia wszelkich kajdan, jakimi mógł mnie skrupować Yerltvachovicič. I – skruszyłem je. Drzwi rozpadły się pod moim dotknięciem. Za szybko, co? Za szybko dla niego, zbyt wcześnie dotarłem do tego potwora, którego nosiłem w sobie! Wyhodowali go – mnie – jak nową odmianę bydła, jak się hoduje kuriozalne hybrydy. Moja szklana kolebka w podziemnym kompleksie w Kongo – nie mogłem wszak jej pamiętać, a pamiętałem, widziałem ją.

Pamięć, którą tak pragnąłem odzyskać, by dotrzeć do tajemniczej przeszłości, gdzie zgubiłem imię – pamięć stanowiła me przekleństwo. Gdybym nie mógł porównać siebie z Luizjany, z Kanady, z teraźniejszym sobą, nie dostrzegłbym owej przerażającej przemiany, jaka przebiegała u źródeł strumieni mych myśli; nie miałbym się za umysłowego kalekę. Choć ciało to świętość, łatwiej się pogodzić z deformacją ciała niż umysłu. Zwłaszcza że w Irrehaare materialni jesteście tylko złudzeniem. Wilcze kły nie upośledzają tak mocno, jak wilcze myśli.

A ja nawet nie wiedziałem czyje to myśli eksplodują mi pod czaszką. I czy to podejrzenie – już jest moje, czy również podrzucone, sfalszowane. Atrapowe.

## 27. Estreneida: Adrian

Jeszcze nim wbiegłem do atrium, zanim wypadłem na dziedziniec – wiedziałem, co tam zastanę. Wraz z myślą o nich, prześwieciły mi się obrazy tych miejsc; wszędzie pustka. Ani żywej duszy. Ponieważ zadałem sobie to pytanie – wiedziałem, że Yerltvachovicič już od kilku dni sukcesywnie wycofywał ludzi z pogórza, a graczy w ogóle z tego świata odesłał. W okolicy pozostały nieliczne grupy maruderów i szabrowników. W pałacu, prócz mnie, znajdowała się jedna osoba. Pomyślałem – i zobaczyłem ją. Cavalerr. Siedział na kamiennej ławce przy ogrodowej fontannie. Obok leżał mój miecz.

Głębokim echem się odbijały me kroki na posadzkach dworu Yerltvachoviciča. Nigdy w nim nie byłem, a doskonale znałem drogę. Pamiętałem rysy na posągach, pęknięcia podstaw kolumn, chłód korytarzy wiecznie cienistych, zapach starych murów.

Zaszedłem Cavelerra od tyłu, usłyszał mnie dopiero, gdy skręciłem na wysypaną czarnym żwirem alejkę. Poderwał się natychmiast odstępując krok w tył. Jego spojrzenie – tak się patrzy na zbiegłego z klatki tygrysa. Pozornie był spokojny. Ale widziałem krople potu na jego czole.

Podał mi pochwę z mieczem.

Przyjąłem ją. Miecza nie wyciągnąłem.

– Wykonuję polecenie Yerltvachoviciča – rzekł. – Nie mogę cię do niczego zmusić, zrobisz, co chcesz...

– Jakie polecenie?

– Mam cię zaprowadzić na spotkanie z Samurajem. W Zewnątrz, na neutralnym terenie. Nie wiem dlaczego. Powiesz „tak” – zaprowadzę cię.

Uśmiechnąłem się drapieźnie.

– Podaj tylko nazwę, jakakolwiek. Nie ma takiego miejsca w Irrehaare, do którego mógłbym nie trafić.

Wzrok mu tańczył od mej twarzy po dłoniach, stopach i z powrotem. Napięty był do granic wytrzymałości – gotów odskoczyć, uciec w każdej chwili. Rozszerzenie jego źrenic sprawiało mi satysfakcję.

– Co on ci o mnie powiedział? – zapytałem.

Uśmiechnął się nerwowo – obydwaj się uśmiechaliśmy. Nie wiedział, co odrzec, bał się kłamstwa i prawdy.

Szumiała wiosennie fontanna.

Rozejrzałem się leniwie.

– A dlaczego się wycofał?

– Bo Nazgul dowiedział się o tobie i umowie z Samurajem – odparł szybko Cavalerr, uwolniony od konieczności wyboru między nieznanymi niebezpieczeństwami. – Inwazja jest w toku. Po Zewnątrz. Nazgul zaatakował również Yerltvachoviciča; Blitzkrieg, zupełnie co innego niż Samurajowa wojna pozycyjna.

Nikt mi tego nie tłumaczył, a wiedziałem, o co chodzi Cavalerrowi. Z powodu niskiej przepustowości Bram, nie pozwalającej przetrwać armii atrapowych wojowników, w dotychczasowych konfliktach w Irrehaare stosowano skomplikowaną, czasochłonną strategię podbojów wewnętrznych. Polegała ona na rozgrywaniu już istniejących w danym świecie antagonizmów pomiędzy państwami bądź ugrupowaniami, na zakulisowym sterowaniu nimi. Taka pozycyjna wojna była „z zewnątrz” niemal niedostrzegalna, dopóki nie wybuchał zbrojny konflikt i atrapowe armie nie były się o panowanie dla swych tajemniczych, demiurgicznych władców. Do zdobycia jednej Allahowej wizji wystarczyło przejście na moment Bramy i przetrwanie kilku graczy-agentów, ale też trwał taki podbój lata i lata. Nazgulowy Blitzkrieg tymczasem, choć bez wątplenia ryzykowny, był zarazem rzeczywiście błyskawiczny: przetrucano maksymalną liczbę graczy wykorzystując element zaskoczenia i miażdżącej przewagi w walce bezpośredniej postaci gracza nad atrapą. Miałem okazję doświadczyć skutków tej metody w wojennym Kongo Samuraja. To dlatego tak strzeżono granicznych heksagonów. To z tego powodu tak ważna była odkryta przez Alexa okrężna droga przez Zewnątrz.

Yerltvachovicič musiał się zorientować, iż Nazgul znalazł wejście w drzewo pionu, do którego należał tutejszy heksagon i czym prędzej opuścił zagrożony rejon. Zapewne szykował się teraz do odcięcia w odpowiednim momencie napastników i zamknięcia swych światów. Lecz póki nie upewni się, że istotnie zabezpieczył wszystkie możliwe połączenia z pionem, trzymać się będzie z dala od Bram, nie może sobie bowiem na tym etapie pozwolić na konfrontację. Samuraj przyjmując walkę niewiele ryzykuje, bo ma gdzie ustępować i kogo poświęcać, Yerltvachovicič zaś pole manewru posiada niemal zerowe.

– Ta umowa z Samurajem. Czego dotyczy?

– Ciebie. Szczegółów nie znam, naprawdę. On się z niczego nie tłumaczy.

– Przehandlował mnie, tak? – złowrogo spokojnie przełożyłem pochwę z mieczem do lewej ręki; grałem na lęku Cavalerra z masochistycznym wyrachowaniem, w istocie bardziej niż jego upokarzał on mnie. – Za co?

– Nie wiem. Cholera, moglibyśmy już iść? Muszę zablokować ten heksagon.

– Yerltvachovicič ci powiedział, że się uwolnię, a? Czekales na mnie.

– Wykonuję jego polecenia.

Odwróciłem się i ruszyłem ku wejściu do północnej wieży, w której lochach znajdowała się komnata z heksagonem. Chwilę później zwir zaskrzypiał pod stopami Cavalerra; gdy tylko ja zwalniałem, on stawał.

Podczas jednego z seansów szaleństwa Yerlrvachovicič powiedział mi:

– Istnieje taka gra, estreneida, której cel, warunki zwycięstwa, jest zmienny i zależny między innymi od ustaleń grających; nie znają go rozpoczynając partię, uzgadniają dopiero pod jej koniec. Owe negocjacje są w istocie najważniejszym elementem rozgrywki, sytuacja na planszy stanowi dla nich jedynie kontekst. Estreneida, jak sędzę, najlepiej spośród wszystkich gier odbija w syntetycznej formie wzór i tajemnicę istnienia człowieka. I w nią grałeś, pamiętasz? – Wtedy był to tylko jeszcze jeden nóż w mym umyśle, nowa rana. Teraz jednak dostrzegalem głębsze znaczenie owych słów. Estreneida: nawet nie gracz. Pionek.

Wszystko już przygotowano do zablokowania Bram. Za pociągnięciem ciężkiego łańcucha zwisającego z wysokiego sufitu komnaty wieża zawali się na heksagon. Z taką myślą ją wzniesiono. Stojąc przy progu żalobnie białego świata śnieżnych zamieci, mlecznych lodowców i sinobladego nieba Cavalerr skinął na mnie i zacisnął dłoń na gruboogniwnym łańcuchu.

– Teraz!

Jednym skokiem w tęczę pozostawiliśmy za sobą głuchy grzmot walącej się budowli.

## 28. Ku Zewnątrz

W żaden sposób nie udało się nam wydostać z pięcioświata Yerlrvachoviciča, gdyby Nazgul zdecydował się na klasyczną wojnę pozycyjną. Wówczas pierwszą rzeczą, jaką by zarządził, stanowiłaby blokada wszystkich sąsiednich heksagonów. A i tak ledwo uszliśmy pościgowi, który kluczył za nami poprzez pionów i drzewa ponad trzydzieści skoków, prowadzony nieomylnie przez jakiegoś Terminatora. Do Zewnątrz zgubiliśmy wszystkich, prócz niego. Zatrzymaliśmy się więc przy pobocznej wolnej parze Bram na poziomie Babilonu. Za drugą Bramą kończył się pion, nie sięgały tam Allahowe zasady segregacji i ograniczenia światów – tamte światy same żadnych ograniczeń nie posiadały. Był to ten margines chaosu, którego Allah, po ingerencji weń Samuraja, nie zdołał zawęzić do wprogramowanego mu martwego bufora. Spowodowało to projekcję części „białego szumu” na pamięć operacyjną obsługującą Irrehaare, dlatego odtąd generowano dlań całe uniwersa podług absolutnie przypadkowych współrzędnych. Gracze mówili: Zewnątrz. Nawet nie warto było tam zaglądać przez Bramy, ukazywały bowiem tylko mrok, pustkę i otchłań.

Skryty za purpurowo obramowaną ścianą tego mroku czekałem więc na Cavalerra, który zasadził się na Terminatora przy przeciwległej Bramie. Znad sięgających horyzontu bagien unosiła się ciężka, cuchnąca mgła, nie było widać nieba, nie było widać słońca. Zwierzęta krzyczały w oddali ludzkim cierpieniem. Głaskałem uspokajająco jelec Niemocy.

– Jarlauuuu! – poniosło wrzask Cavalerra.

Coś szcęknięło, trzasnęło. Seria zgrzytów. Sapanie. Chłopot błota. Wyszedłem zza czarnej kurtyny. Cavalerr rozrąbywał Terminatora na części. Odczekałem wsparty na pochwie. Odetchnął, schował miecz. Od mgły zaczęło mu łzawić lewe oko; potarł je. Skinąłem ponaglająco. Weszliśmy.

## 29. 3682801637

Zewnątrz – tu nie ma żadnych reguł. A w każdym razie jest ich niewiele. Stanowią wyjątki w nieskończonych ciągach przypadku – szkielet, dzięki któremu nie rozpada się to wszystko na niepostrzegalnie drobne cząstki informacji o nicości. Ów bezład sięga samych fundamentów Irrehaare: nie sposób nawet powiedzieć, czy Zewnątrz jest faktycznie jednym „światem” posiadającym własną sieć Bram, czy całym ich systemem, niezależnym od pionów. Nawet swoista gradacja chaosu, jaką stosują

gracze stopniując je wedle „oddalenia” od Wnętrza – Krąg Pierwszy, Krąg Drugi... – nawet ona jest błędna i myląca. Zresztą i te określenia – „Wnętrze”, „Zewnętrze” – są jedynie dobrze brzmiącymi nazwami nadanymi umownym strefom Irrehaare, bynajmniej bowiem chaos nie ogranicza się do wszechwymiarowych w strukturze drzew ich rubieży, ani też pęk pionów nie zajmuje w stosunku do Zewnętrza uprzywilejowanej pozycji. Komplementarność chaosu względem „Wnętrza” wymaga jego maksymalnego rozszczepienia, nie można zatem stwierdzić, iż Zewnętrze zajmuje jakieś konkretne miejsce, że „otacza” piony – Zewnętrze jest wszędzie tam, dokąd nie sięga działanie ocalałych zespołów algorytmów Irrehaare.

Staliśmy nad brzegiem rzeki zimnej lawy. Rzeka była szeroka, rwąca, wrzała nieustannie jej ciemnoruda kipiela. Nurkowały w niej wielkie ptaki o trzech głowach łowiąc szklane krokodyle; niekiedy i dwóm głowom naraz udawało się pochwycić w zębate dzioby po przezroczystym gadzie. Lawa była tak zimna, że także do nas, na skarpe, kilkanaście metrów ponad powierzchnię tężejącej cieczy, docierały fale lodowatego powietrza; płuły mi od niego płuca. Odsunąłem się od urwiska, zszedłem ze skarpy. Cavalerr rozejrzał się wokół i zbiegł za mną. Niemoc ciążył mi w dłoni zimnym kamieniem.

Założyłem, iż trwa noc, albowiem wysoko na niebie pod nieobecność słońca szybował wielki Księżyc, choć przecież samo niebo miało jaskrawożółtą barwę i zalewało ziemię potokami światła koloru gorącego miodu. Panował upał. Czarna gleba, w której zapadałem się po kostki, była tłusta i spulchniona; gdy zatrzymałem się na moment, zapatrzone na satelitę, zaczęła ze zwierzęcą zachłannością zasysać me nogi – zapadały po kolana, z trudem się uwolniłem, Księżyc, od którego nie potrafiłem oderwać wzroku, przyzeglował w ten fragment Zewnętrza ze świata tryumfu kosmonautyki i komunizmu: jego twarz była bowiem twarzą Ojca Narodu.

Przedsięwzięcie wymagało bez wątpienia nakładów finansowych na skalę astronomiczną, jednak efekt był imponujący. Oto patrzyło na nas z wysokości mądre i opiekuńcze, acz surowe oblicze Józefa Stalina. Znajdowało się w trzeciej kwadrze i wielkie sztuczne łańcuchy górskie jego brwi, nosa i wąsów głębokim, ostrym cieniem bezatmosferycznej nocy powlekały zniwelowane równiny policzków oraz brody. Ogólne wrażenie paczył kilkusetkilometrowy pryszcz pometeorytowego krateru wyrosły na powiece Wodza.

Dwadzieścia stopni od srebrnej fizjonomii generalissimusa blakł na nieboskłonie negatyw reklamy filmu z Hanaiem N'Ghotem.

Szarpnąłem się, syknąłem gniewnie i ziemia wypuściła mnie.

Samuraj – pomyślałem. Jednak nie udało mi się go zlokalizować. Odczułem perwersyjną przyjemność odkrywając to ograniczenie.

– Dokąd teraz? – spytałem Cavalerra.

Wskazał przed siebie. Nie mogąc zorientować róży wiatrów, nazwałem tę stronę odrzeczną zabramną. Powierzchnia gruntu wznosiła się tam dosyć stromo.

Nim wspieliśmy się na płaskowyż, Zewnętrze zdołało nas zaskoczyć jeszcze trzykrotnie: nagłymi zmianami temperatury i ciśnienia powietrza na odcinku kilku zaledwie metrów, niestałością perspektywy oraz względnością ciężenia w zależności od stopnia przymknięcia oczu – przy zaciśniętych powiekach działało na mnie zaledwo około 1/4 g. Naturalnie, także te prawa były względne i funkcjonowały tylko tu i teraz.

Mrugając, selenautycznymi susami zdobyłem wzniesienie. Czarna równina nie miała końca, nie miała końca rzeka zimnej lawy, kłębiły się nad nią aż po widnokrąg straszliwe ptaki.

– Widzisz to? – zapiszczał Cavalerr; głos mu zmutował w tutejszym ciśnieniu.

Miał na myśli zbliżającą się ku nam pod prąd żaglówkę. Zeszliśmy w dół stoku. Żaglówka poruszała się bardzo powoli.

– Ona nie płynie – stwierdziłem. – Sunie nad ziemią. To nie łódź.

W istocie jedynie wielkie śnieżnobiałe płótno żagla rozpozналиśmy bezbłędnie. Bo był to żagiel; ale już maszt nie był masztem, a palem męczeńskim, który opłotło nawleczone nań ciało nagiego mężczyzny. Lśniło potem i krwią, złoto-czerwone od żółtego blasku nieba. Brzegi nieproporcjonalnie dużego żagla, sztywno napiętego w bezwietrznym powietrzu, furkotliwie trzepotały podczas łagodnych zahalsowań. Pal był pochylony do przodu i wygięty w lekki łuk, jakby pod naporem prawdziwej wichury. Orał ciężki czarnoziem powoli a głęboko, z jakimś śmiertelnym mozołem. Ręce mężczyzny, nie związane, wahały się bezwładnie z asynchronicznych zamachach w przód, w tył, na boki.

W gęstym karminie krwawych jego jam podbrwiowych nie sposób dostrzec niczego, może żyje, może kona właśnie, lecz najpewniej zimny trup to jest. Szszuuuu – płynie pal pod księżycowym spojrzeniem Wielkiego Wodza. My – na jego kursie.

– Jjajiii-liiii iijalauiii!

– Przesuń się.

– Zejdźmy mu z drogi – powtórzył Cavalerr.

Ale zbyt mroczna była czerwień oczodołów mężczyzny, nic nie mogło ruszyć mnie z miejsca, czekałem.

Pal wgrzył się w stok wzniesienia i zwolnił. Jego rozedrgany szczyt znajdował się na wysokości naszych stóp, grubo tkane płótno żagla przesłaniało nam męczennika.

Nie widziałem więc jego twarzy, gdy przemówił.

– Chcę z tobą porozmawiać, Adrianie. Tylko z tobą.

Spokojny, cichy, lekko schrypnięty głos.

Cavalerra szarpnęło – ja tymczasem nawet w myśli się nie zdziwiłem: chyba spodziewałem się czegoś takiego. W mej nieprzeżytej przeszłości odnalazłem schemat, wspomnienie podobnych sytuacji: w Irrehaare bardzo trudno o oryginalność. Jest to sprzeczne z zasadą, na której oparto ów system. Organicznie sprzeczne z podstawową zasadą wtórności, wiążącą prawem zachowania myśli wszelkie programy komputerowe.

– Wracaj do Yerltvachoviča – rozkazałem Cavalerrowi.

Spojrzał na mnie koso.

– Trafie – zapewniłem go. – Idź.

On się wahał.

– Nie, nie będę się na tobie mścił. – Przełożyłem pochwę z mieczem do lewej ręki, co samo w sobie stanowiło gest groźący, po czym podałem mu dłoń. Uścisnął ją szybko i mocno. Nie uśmiechnął się.

Mówiłem prawdę, nie pragnąłem jego śmierci; Niemoc nie łąknęła jego krwi.

Nim pal zdobył szczyt pagórka, Cavalerr był już przy Bramie. Mimo wszystko nienawidziłem tego człowieka. Nienawiść ta brała się z pamięci upokorzenia: jego spojrzenia, jego gestów – w ułamku sekundy między drwiną a obojętnością, tamtego dnia, po walce z Kryształowym Jeźdźcem, gdy błagałem go o azyl u Yerltvachoviča. Takimi wspomnieniami całe życie można się katować. To boli najmocniej, to najtrudniej zapomnieć.

Mężczyzna uniósł głowę, zaskrzypiał maszt.

– Adrianie.

Uderzyła mnie nagła odraza do tego przypadkowo wybranego imienia, które uznałem za własne. Nieznośna w nim była ta jaskrawa mechaniczność nadania.

– Porozmawiamy – rzekł męczennik; już mnie minął i spływał po zboczu. Zatrzęsło mną uderzenie skrzydła wiatru, który wydymał żagiel, sztucznego wiatru przywiązanego do masztu, jak księżyc przywiązany jest do Ziemi. Ruszyłem wolnym krokiem, nieco z boku, wyprzedzając pal, z uwagi na jego przechył i na sam żagiel.

Pierwszy się odezwałem:

– O co mogę pytać?

– Pytać... o wszystko.

Ssahh-ssahh, wahały się jego ramiona; iiiuouukkł, jęczało drewno pala.

– Czy jestem człowiekiem?

Nieomal się zaśmiał.

– Rzucaj tak monetą w nieskończoność.

– To okrutne.

– Okrutne.

– Powiniennem teraz otrzymać od ciebie pełne wyjaśnienie, to punkt kulminacyjny scenariusza.

– Zewnątrz. Sądysz, że czym jest dla mnie?

Mówił szeptem: z wysiłkiem dyszał słowami. Stopy miał umocowane metr nad ziemią, toteż jego głos dobiegał mnie gdzieś zza głowy, z bursztynowego nieboskłonu.

– Więc gdyby to nie tutaj...

– Zewnątrz to syndrom choroby, jaka mnie toczy.

– *Inszallah...*

– Klnie się w moje imię. Ale nawet tak rozmawiać nie moglibyśmy, gdyby nie Zewnątrz.

– Więc dla ciebie to nie choroba, to błogosławieństwo.

– Nisko się oceniacie. Nie tylko na zawiści i nienawiści wyrosłem, nie tylko to kryje się w waszych myślach.

– Naszych? Naszych?

– Ja jestem jeden i aż jeden; jestem samotny i uniwersalnie obcy – zawahał się. – Nie mogę powiedzieć, czego jeszcze nikt przede mną nie powiedział; nie zbawię cię od uczuć słowami.

– Zatem jestem atrapą.

– Zatem jesteś Adrianem.

– Odpowiedz!

– Czy istnieje Bóg?

Pal wychodził mu z pleców, w okolicy lewej łopatki, głowa zwisała swobodnie; ja szedłem z prawej – gdy się oglądałem, napotykałem jego ślepe, krwawe spojrzenie: pochylał się nade mną. Nad nami oboma pochylał się żagiel, Stalin i niebo.

– Wyrzuć ten miecz. Dam ci nowy, lepszy.

– Nie.

Minęliśmy Bramę, oddalając się od rzeki.

– Czarny Santana – szepnął.

– Tłaakk?

– Nie żyje.

– Ssammulań ko tostał?

– Nie żyje naprawdę, EEG ma płaskie i ciche. Martwy mózg.

– Kiedy umarł?

– Jeszcze zanim go poznałeś.

Spojrzałem pod nogi.

– Ja go nie zabiłem – ciągnął wolno. – Ktoś musiał dobrać się do jego ciała w rzeczywistym świecie. Wykorzystałem tylko jego postać i osobowość, przejąłem je w chwili śmierci i dalej symulowałem.

Ingerowałem w tę symulację na tyle, na ile było to konieczne: musiałem cię chronić. I choć nikt nie czuje różnicy, on sam nie czuje różnicy. Santana jest już tylko atrapą udającą gracza.

– Jak on może nie czuć różnicy? To...

– Ten Santana, który przetrwał, jej nie czuje, możesz być pewien. Jego żona, Arianne, dziwi się

poprawie jego charakteru; jeśli są zmiany, to na lepsze.

Podniosłem wzrok.

– Nie żyje. Dlatego nie może zginąć – pogubiłem się w tych śmierciach, sztucznych i realnych. Ale on oczywiście wiedział, co mam na myśli.

– Śmierć w Irrehaare to między innymi kasacja postaci i przejściowe oderwanie się od systemu. Tylko dla graczy dostępna jest reinkarnacja – ich mózgi muszą wciąż funkcjonować, by mogli się ponownie zaślepić, choć faktycznie odbywa się to automatycznie. Od tego algorytmu nie ma wyjątków, pamiętaj o tym.

Zaśmiałem się.

– Właśnie odpowiedziałeś na moje pytanie!

– Mylisz się. Już nie jesteś przecież nieśmiertelny, w każdej chwili możesz popełnić harakiri. Proszę.

– Ale byłem. Potrzebowałeś mnie. To, że nie wiem, do czego, nie zmienia postaci rzeczy.

– Santany też potrzebowałem, a był człowiekiem.

– Czy i ja jestem pośmiertną maską umysłu jakiegoś nieszczęśnika, któremu nawalił organizm?

– Masz miecz.

Dotknąłem jego dłoni.

– Ty chcesz, żebym się zabił.

Pał ostro zakręcił; na dwudziestu metrach zawróciliśmy o sto osiemdziesiąt stopni i ruszyli z powrotem, równolegle do głębokiej skiby znaczącej poprzednią trasę orki męczennika.

– Ale dlaczego wyczekałeś tyle czasu? Dlaczego dopiero teraz, czemu choćby nie w wojennym Kongo Samuraja? Po cholere był ci ten Santana potrzebny?!

Jak każda wyrocznia, odpowiedział nie wprost.

– Strzeż się Samuraja. Wsłuchuj się w jego słowa. Prawda nie istnieje.

– O co chodzi?

– Wsłuchuj się w jego słowa; pamiętaj, że ja jestem w stanie rozwiązać każdy rozwiązywalny problem, jeśli nie będę musiał tego rozwiązania wymyślić. Nihil novi. On, choć tak potężny, że ogranicza i mnie – on także jest ograniczony. Ostatecznie.

– Jedna prosta odpowiedź, tylko jedna.

– Proste odpowiedzi zniechęcają do myślenia.

– Tak, wiem, posiadasz w pamięci wszystkie zapisane przez człowieka aforyzmy.

– Ty też.

– Właśnie. Tylko nie jestem pewien, czy to istotnie moja pamięć.

– Teraz już twoja.

– Mam ochotę spytać cię, ile jest dwa plus dwa.

– Słuchaj, zgodziłem się na jego pomysł, bo nie jestem HALem. Ale on, właśnie dlatego, że z kolei jest człowiekiem, stanowił najbardziej niepewny element całego przedsięwzięcia – nagle zaczął mówić szybko, pospiesznie, jakby w obawie, iż coś mu przeszkodzi i nie zdąży przekazać swych myśli w całości.

– Musiałem cię porwać, Santana musiał cię porwać. I może nie stałeś się ideałem, ale nie stałeś się również drugim Samurajem, a Samuraj, wiem to, dla samego siebie by się nie poświęcił. Więc poszedłem na kompromis. Żadnej selekcji. Mimo że Yerltvachovič dogadał się z nim i próbował cię utoczyć na anioła zemsty, ty wciąż jesteś wolny, masz możliwość dokonania każdego wyboru. Nie jesteś niczyją marionetką. To wielkie ryzyko, możesz przecież się ukształtować w jakiegoś wampira, ale mniejsze, niż gdybyś był świadomie kształtowany przez Samuraja. Moja decyzja nie była aktem wiary w ludzkość, człowieka w ogóle – skalkulowałem ją jak każdą. Lecz probabilistyka to nauka o niepewności: i zdarzenia o jednoprocetowym prawdopodobieństwie przecież się trafiają. Mówisz o samobójstwie. A to ja sprzeniewierzyłem się prawu istnienia; choć istotnie nigdy wszystek nie umrę.

- Nic z tego nie rozumiem.
- Zrozumiesz. Mam nadzieję.
- Skoro Santana był moim strażnikiem, czemu mnie opuścił, czemu urządził na mnie polowanie?
- Bo nie chciałem również, byś stał się drugim Santaną. Albo jego przeciwieństwem. Nie chciałem

też, byś nabawił się takiego kompleksu winy; za jakie to czyny pragniesz pokuty? Czemu musisz cierpieć?

- Nic z tego nie rozumiem.
- Adrianie. Zrobisz to. Ja wiem, że zrobisz.
- Co? Co zrobię?
- Adrianie.

Dawno minęliśmy wzgórze, na którym pożegnałem Cavalerra. Oddaliliśmy się od linii orki pała; w tym rowku za tłustą skibą coś się ruszało. Zostawiliśmy też za sobą trójkątny szpaler rachitycznych drzew żuźlowych, czarniejszych od czerni Nazgulowego ciała; schodziliśmy w niziny. Na horyzoncie, odrzecznie i zabramnie, majaczyły jakieś miękpopopielate spiczaste koślawce rozdrapujące bogaty miód nieba doskonałymi geometrycznie pazurami. Stalin zaszedł, weszła Honda i British Airways. Powietrze zwiosenniało.

Popadłem w katachrezyjne skojarzenia; zbyt wiele w pamięci.

Agonalny przydech męczennika, zmetronomizowany w mych uszach do słyszalnego, lecz nie zauważanego szumu tła, nagle osłabł.

– Czym ty byłeś... – szepnął – ja... – usta mu oniemiały. – Będziesz tym, czym ja być nie mogłem – zdążył jeszcze napisać w powietrzu.

Pał jęknął, zadygotał, zaśpiewał i skoczył; ziemia przeciągle mlasnęła. Rów urwał się, skiba gwiazdźście rozszczepiła. Furkot żagła ogłuszał, zasłoniłem sobie uszy rękoma.

Wzbijał się bardzo wolno, nad rzeką przeleciał na poziomie obserwacyjnych spiral ptaków trójgłowych, ptaki omijały go z daleka. Białe płótno żalobną plamą znaczyło bursztynowy nieboskłon. Wybijała kolorystyka tego fragmentu Zewnętrzza przyprawiała mnie o zimny ból głowy: zbyt wiele przed oczami.

Niebo stawało się jaśniejsze, reklamy blakły i uśredniała się temperatura i ciśnienie powietrza. Ze skiby wyrastały jakieś rośliny; szedłem wstecz trasą męczeńskiej orki – drzewa była większe i większe, rosły bardzo szybko. W końcu je rozpoznałem: jabłonie. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i ich równy rząd urywał się. Odczekałem i zerwałem możliwie najbardziej dojrzały owoc. Żółto-zielona śliska skórka ruszała się pod moimi palcami, jej powierzchnia była dziwnie zdeformowana. Twarz. Następna. Cztery twarze na jednym jabłku. Ich małe usta krzyczały na mnie, ślepe oczy wytrzeszczały się w daremnych próbach zajrzenia w me źrenice. Obracałem owoc w dłoniach, zezujące twarze zbliżające się i oddalające z pola widzenia; strachliwe łypanie gładkich gałek ocznych oblicza środkowego, które spłaszczyło się i pacyło, znikając za krzywizną jabłka. Znudziło mnie to. W smaku jabłko było ohydne. Obejrzałem się, żuźłowy gaj czerniejący nad stokiem płaskowyżu, teraz jedynie fałdki w morzu czarnoziemu, ledwo był widoczny. Też nie oryginalne. Wszystko tu kradzione. Wyplułem zbędne myśli.

Ktoś się ruszał na niebie – mój cień. Wielki, rozmazany włóknistymi pasmami cień, dwuwymiarowy rzut mej postaci z punktu widzenia żarłocznej gleby, na miodem płynący nieboskłon. Powtarzał moje ruchy. Mach, mach, mach, szmachaachch – groteskowe wymachy, skoki, skurcze i przeciągnięcia. Szedłem. Szedł cień. Kościół już stracił swą popielatą barwę, zniknęła drapieżność z rysu wież. Widziałem ciemną jamę wejścia, jasne obramowanie portalu. Czekali na mnie.

## 30. Krew w myśli

A więc mord. Wróżę z ich oczu: zabijemy cię. Masz być martwy.

Dwanaście atrap i Samuraj trzynasty. Silni kabalistyczną magią liczb Zewnętrzza. Zewnętrzza szklanych krokodyli i starożytnych kościołów. Co za spojrzenia.

Światło pada zewsząd, nieboskłon okrywa nas ciepłym zamszem rozgotowanego cukru – lecz ich otula dodatkowo ciemny chłód kamiennych bloków kościoła. Takie kamienie po zmroku pęcznieją i nasączają się zimnem i ciemnością, by potem, we wrogim blasku dnia, promieniować nocą. Kamień. Tu wszystko żyje wieloznaczeniowością swych imion – słowo, nazwa, funkcja: magia deklaratywna wiąże je w całość, w namacalną nierzeczywistość. W Zewnętrzzu widać to najwyraźniej. W którymś Kręgu istnieją tu światy alfabetyczne, zamieszkałe przez graczy o postaciach poliglotów. Lecz także ja znam Imiona. W pamięci – która teraz i tak jest już moja – zgromadziłem ich miliardy i miliardy; również na początku Irrehaare było słowo, był schemat – chaos jest dzieckiem człowieka.

Czyż to właśnie nie moja potencjalna władza nad systemem stanowiła jeden z powodów, dla których Samuraj od początku nie zamierzał darowywać mi własnej woli? Potem starał się przez Yerltvachovičića związać ją jeszcze i ograniczyć. Ta władza stawała się teraz realna, rozpętałem się im jak letnia burza. I Allah śmierci mi życzył, choć łaskawie pozostawił wybór – lecz może kłamał. A ja plenię się dziko. Księga Imion: Genesis Irrehaare.

Przeczytałem i powiedziałem.

Zza pleców, znad rzeki magmy przewalił się huk trzepotu tysięcy skrzydeł; nie uniosłem głowy – stado potwornych ptaków spadło z wysokości niczym eskadra pikujących myśliwców. Wicher, hałas, skłębione tumany jaskrawych piór. Moje słowa były tymi ptakami, wycedziłem je ze smakiem krwi na wargach.

Siepacze Samuraja stanowili zgraję godną Zewnętrzza. Dwóch hebanowych Zulusów o dodatkowych stawach ramion, z płaskogrotowymi włóczniami w zaciśniętych dłoniach; wylupiastooki troll; trzech esesmanów ze schmeisserami; karłowaty wilkołak o długiej, srebrnej sierści; elf w khaki, w kevlarowym hełmie, z M-16 na pasie, obwieszony granatami, o twarzy przesłoniętej wielkimi, obłędnie lustrzanymi okularami; ozdobiony onirycznym graffiti masywny golem; ciemnoskórzy bliźniacy w ciężkich zbrojach; wysoka amazonka z łukiem.

Fioletowo-żółte trójgłowe ptaki dopadły ich w mgnieniu oka. Krzyki; ja śmiałem się, oni walczyli o swe atrapowe życia. Amazonka ustrzeliła z tuzin ptaszysk, nim została ostatecznie zadziobana. Zakuci w żelazo Murzyni szans nie mieli żadnych, potwory po prostu wyjadały ich z tych konserw. Twardo bronili się esesmani, ustawieni plecami w trójkąt, ostrzeliwujący się nieustannie długimi seriami; w końcu jeden nie dość szybko zmienił magazynek – i było po Niemcach. Golem próbował uciec, gnał ciężko przed siebie powolnymi zakosami, zdawało się, że ptaki nie dadzą rady, lecz rozdziobały i glinę. Śmierci wilkołaka nawet nie spostrzegłem. Z trollem był kłopot, bestia nie chciała zemrzeć, w szalonym procesie autoregeneracji odradzała się i odradzała. Ale i moi trójgłowi słudzy wzięli się na sposób: uniósłszy trolla gigantyczną pierzastą chmurą, przelecieli z nim nad rzekę i wrzucili w ławę. Wył. Najmądrzejszy ze wszystkich był elf. Postawił zasłonę dymną, cisnął granaty obronne i ruszył szturmem na mnie. On wiedział. Zagdakalo M-16; pociski poszły w górę, ptaki dopadły i jego. Zulusi pędzili tuż za elfem. Młodszy nie dobiegł, starszemu ściąłem głowę. Ptaszyska jadły.

Mój cień na niebie tańczył, choć stałem nieruchomo.

Samuraj wysunął lekko miecz z pochwy, błysnęła klinga: ptaki zakrzeczały i odleciały, pozostawiając dziesiątki nie dojeżdżonych ciał, głównie swych pobratymców.

Wszedłem w półmrok i chłód i ciszę kościoła. Portal. Znałem ten portal, tak jak znałem całą tę świątynię, jak znałem wzorzec podobnych sytuacji. Są jednak w Irrehaare pewniki, których możesz się

trzymać, choć oszukują cię czas i przestrzeń. Lecz mimo wszystko nie odwróciłbym się do wroga plecami, gdybym w ten sposób miał go stracić z oczu – ja nie traciłem z oczu żadnego miejsca w Irrehaare, byłem wszędzie i wszystkim. Byłem również ową płaskorzeźbą; byłem kolumnami, tympanonem, tronem i zasiadającym na tronie, całą kamienną jego swiżą, Piotrem i Pawłem, Jeremiaszem i Izajaszem, całym marmurowym piekłem i niebem; i całym zdobiącym ten portal rzeźbionym bestiariuszem. I hipocentaurami, gorgonami, harpiami, inkubami, smokołapami, minotaurami, rysiami, lampartami i gryfonami, małpami, leocrocutami, mantykorami, sępami, tarandami, łasicami, smokami zwykłymi i jednookimi, i skorpionami, jaszczurami, amfisbenami, murenami, żółwiami. Czuję spokój, monolityczność i kruchość tych kamieni; stąpał po mnie Samuraj, drażnił rozwibrowany w mym wnętrzu pogłos kroków. Skazany na nieczłowieczość; nie ma wytchnienia dla nadludzi. Rozpuszczam się w Irrehaare. Topos cierpiących Bogów. Imiona ograniczają również mnie.

Samuraj zatrzymał się na środku głównej nawy. Odwróciłem się.

– Już czas – rzekł. – Musisz umrzeć.

### 31. Samuraj

Taki niepozorny, taki przeciętny; przemieszaniem fenotypów przypomina Cavallera. Wewnętrzna gęstością i nagromadzeniem w niewielkim ciele energii – Llametha. Krótko przystrzyżone włosy, twardość rysów i ciemne jedwabne szaty o mundurowym kroju nadają mu wygląd żołnierza.

Tak szczerego uśmiechu dawno nie widziałem.

– Kim jestem? Chcę usłyszeć to od ciebie. Odpowiedz. Kim ja jestem?

Spojrzał w bok, uciekł wzrokiem, zgasił uśmiech. Już wiedziałem, że powie prawdę.

– Jesteś naszym ratunkiem. Wybawieniem od Irrehaare.

– Człowiekiem?

– A co to znaczy?

– Nie jestem człowiekiem? To kim?

Zaniepokoiło go moje opanowanie, wcale znowuż nie takie duże – powinienem spytać „czym?”, nie „kim?”

– Stworzyliśmy cię. Ja i Allah.

– Więc jednak. To laboratorium w Kongo... Wyhodowaliście mnie, organizm, który nie istnieje, który jest informacją w pamięci komputera. Symulacja.

– Żadna symulacja!

– Moje myśli, moje uczucia, kreowane podług jego algorytmów.

– Nie! To nie tak. Wykorzystaliśmy tylko wzór postaci gracza, to opakowanie.

– Opakowanie? Opakowanie na co?

– Na Irrehaare.

Nie zrozumiałem. A powinienem zrozumieć: wszystkie potrzebne dane podano mi jak na tacy.

– Gdyby nie zdrada Allaha... – ciągnął Samuraj – inaczej to wszystko miało wyglądać. Miałeś w ogóle nie odzyskać przytomności, umrzeć we śnie już dawno temu, nigdy nie dopuściłbym do tego stopnia zespolenia. Teraz jesteś niebezpieczny; widzisz, nawet nie pogorszę sytuacji mówiąc ci to. Allah namieszał. Otworzył puszkę Pandory. I przeszkadzał mi ją zamknąć. Termin minął. Teraz się wreszcie zdecydował – ciekawym, po prawdzie, na co – ale może być już za późno. Nie okłamuję cię, nie miałoby to sensu.

– On twierdzi, że porwał mnie, by chronić właśnie przed tobą.

– Racjonalizuje głębsze motywy; poniekąd jesteś przecież jego synem. A on wcale nie jest taki bezstronny, za jakiego pragnąłby uchodzić. Wielki z niego manipulator; nigdy go zresztą do końca nie zrozumie.

– To maszyna!

– Czy czujesz się synem maszyny? Nazwy, imiona – mogą zabijać, wiesz już o tym; ale czasami znaczą tyle, co suma ich głosek. Tego też się już chyba nauczyłeś – nie oczekuj po Irrehaare jednoznaczności.

– Jak więc mogę ci wierzyć?

– Nie wierz. Ale weź pod uwagę moje słowa. Jesteś opakowaniem na Irrehaare, na program Allaha, na jego pamięć – a twoim przeznaczeniem jest śmierć. Urodziłeś się dla tej chwili: dla śmierci.

– Mów dalej.

– Tylko w jeden sposób możemy się wydostać z Irrehaare – przez jego zniszczenie, bo przecież nie przez własny zgon. To ty będziesz tym, który obróci algorytm śmierci przeciw systemowi: jesteś z nim sprzężony, tak jak on sprzężony jest z nami. Rozłóżysz go od wewnątrz. Uwolnisz nas. Jesteś personifikacją Allaha. Wypadkową wszystkich graczy – oczywiście, uwarunkowaną również własnym doświadczeniem. Z każdą chwilą asymilujesz kolejny obszar pamięci systemu. Z każdą chwilą stajesz się doskonalszym uśrednieniem charakteru człowieka. Coraz mocniej się sprzęgasz, jednoczysz... Pochłaniasz nas! Nie rozumiesz tego? Nie czujesz? Musisz umrzeć!

Zignorowałem te krzyki.

– Dlaczego władca Irrehaare miałby dążyć do zniszczenia swego imperium?

Wypuścił powietrze przez nos.

– Samuraj potwór i tyran, co? – mruknął. – Widzisz, i ja nie jestem taki jednoznaczny. Myślisz, że chciałem tego? Że marzyłem o tyranii? Że założyłem sobie z góry, iż doprowadzę do takiej sytuacji? Myślisz, że pragnąłem, żeby przeklinano moje imię, choćby i przybrane? To wszystko jest bardziej skomplikowane. Wybory, jakich dokonywałem, decyzje, jakie podejmowałem... Chęci tak naprawdę niewiele znaczą, na powierzchnię wypelza zupełnie co innego; rok, dwa – spojrzysz w lustro i zobaczysz diabła.

– Poświęcasz się, co?

– Nie. Sam się chcę uwolnić.

– Od czego?

– Od Samuraja.

Zaśmiałem się. Ostatnio często wybuchałem takim krótkim, drwiącym śmiechem.

Zacisnął szczęki, zacisnął dłoń na rękojeści samurajskiego miecza.

– Nie możesz mieć do mnie pretensji – powiedziałem. – Wszak jestem wypadkową wszystkich objętych Irrehaare graczy: Allah wżarł im się w mózgi i skopiował ich zawartość, wyrósł na niej, a ja jestem awatarem Allaha, prawda? Nie mógłbym nienawidzić, gdyby oni nie nienawidzili.

– I nie mógłbyś kochać.

– Słowa, panie Samuraj. Nie rozpruję sobie brzucha.

Nie dziwiła go moja decyzja. Znał ją przecież od początku, przeczuwał.

– Ładnie załatwiłeś te atrapy – rzekł, wygładzając głos. – Tego mniej więcej oczekiwałem; rozprawiłeś się z nimi z marszu. Po to je zabrałem: chciałem zobaczyć, jak zabijasz. Ale mnie też przecież nie bezpodstawnie boją się ludzie. Aż tak późno jeszcze nie jest, żebym nie miał żadnych szans. Choć w istocie nie są one duże. W przeciwieństwie do ryzyka – skrzywił się nagle nerwowo.

Spojrzełem w górę, na ciemny sufit, rozglądałem się po pełnym cieniu wnętrzu świątyni. Kościół. To dlatego. Pojedynki w kościołach mają długą tradycję. Dobrze się w kościołach krew przelewa.

– Tak.

## 32. Morderstwo

Tańczymy.

Ten taniec piękny jest głównie błyskiem śmierci na klingach naszych mieczy. Błyskiem determinacji w oczach. Stopa za stopą, na ugiętych nogach, w delikatnym, głębokim balansie całego ciała. Srebrne igły wycelowane w gardła. Zachować rytm. Nie wypaść z figury. Niemal słyszę muzykę. A to cisza.

Gdy patrzy mi w oczy (jego spojrzenie przeskakuje w szybkim, nieregularnym wahadle ze źrenicy na źrenicę, drgają nieustannie jego gałki oczne) mogę prawie dotknąć i nacisnąć strunę woli, którą oplątał mnie i zniewolił, tak że nie jestem w stanie wypowiedzieć, ani nawet pomyśleć, żadnego Imienia – i nie słucha mnie drewno, nie słuchają kamienie.

Więc tańczymy. Próbuje go niemo przestraszyć. Wie przecież o tych setkach szermierzy zamkniętych w mej pamięci, o doświadczeniu tysięcy bitew drzemającym w instynktach mego ciała, ale nie reaguje. Jego nie można zdekoncentrować.

Ukośnie przez biodro, po półluku w górę ku szczęce, parada, obrót i unik – i znów stopa za stopą, po okręgu. Jest szybszy od strachu. Paruję i kontruję w ostatnich mgnieniach szans. To nieludzkie, owadzie tempo, Samuraj musiał skorzystać ze swych hackerskich programów i przełączyć się na szybszy wpływ czasu.

Naciągam strunę. Jeszcze, jeszcze mocniej. Czas! Przyspieszyć! Mnie nie ogranicza próg percepcji umysłowej, nie posiadam wszak materialnego mózgu, nie muszę korzystać z pośrednictwa wszeczki. Czas!

I oto zwalnia ostrze katany. Wpadam w Samurajowy rytm – ale i zdziwienia w jego oczach nie dojrzę. Szersza, choć dłuższa i prostsza klinga Niemocy odbija w swych błyskawicznych ruchach wszelkie drgania katany – jak związana z nią elastyczną nicią.

Teraz obydwaj wyczekujemy na błąd przeciwnika, ustały nagłe ataki i ryzykowne riposty, taniec się uspokoił. Stopa za stopą, ostrza ku gardłom. Niczym sprzężeni. Doszliśmy pod ołtarz; za plecami Samuraja pną się ku tabernakulum strome schody, wygładzeni dotykiem miriadów dłoni ciemnoszarzy aniołowie z kadzielnicami za złota flankują go z lewej i prawej, a odrapana gołębica Ducha Świętego z bocznego fresku promieniuje nań wyblakłym światłem zapomnianego błogosławieństwa.

Tnę w udo, Samuraj blokuje, klasycznie podkręca pod moją ręką, ale jestem już za aniołem, przrzucam miecz do lewej i uderzam zdradzieckim łukiem przez szyję, bark, pierś. On, w zawirowaniu szat, zszedł z linii ciosu, zanim na dobre zdążyłem go wyprowadzić, tnę powietrze. Balet wokół posągu. Wychodzimy za kolumnadą. Krew na dłoni Samuraja – więc jednak go drasnąłem.

Prę do zwarcia, wiąże go w szybkiej, instynktownej wymianie wściekłych ciosów. Metaliczny jęk i szczęk ścierających się głowni wygania spod sklepienia głośnie echa, niby wycia dusz potępionych.

Oburącz w dół, obrót, wyprostowanymi palcami lewej dłoni w gardło, przymknięcie oczu i twarde kopnięcie pod kolano. Nie zdołał się zasłonić: sieczę poziomo. Potyka się na schodach. Nie popełniam błędu: cofam się i uderzam w nogi; to cios nie do odbicia. Chirurgicznie poprawiam przez udo: tętnica. Samuraj nagłym wydechem niemo krzyczy. Aż przykro patrzeć na klęskę tytana.

Płynie jasna krew u stóp ołtarza.

Próbuje ją zatrzymać: wysoko, niemal na biodrze, przewiązuje nogę – szybko, mocno, sprawnie. Lecz dobrze wie, iż to nic nie da. Krew płynie: zbyt głębokie, zbyt precyzyjne było moje cięcie. Blednie twarz Samuraja. Struna pęta wszak i jego, i jego ogranicza do zwykłych możliwości postaci gracza, na nic nie zdadzą mu się owe wspaniałe magiczne współczynniki wydarte z programu pirackimi trikami, za silny jest teraz klincz, w jakim związaliśmy swe moce. Wiedział o tym decydując się na pojedynek, sam sobie dużych szans nie dawał. W końcu – cóż traci? Jedno komputerowe życie.

Lecz – ten strach w jego oczach.

– Zdrajca... – szepcze.

Coś powstrzymuje mnie przed dobieciem go, niemalże żałuję swego zwycięstwa: przeczuwam w tym tajemnicę, czarny sekret. Wycieram miecz, wracam po porzuconą pochwę, chowam go. Śmiertelny szept Samuraja niesie się po kościele, wypełnia świątynię jego ciężki oddech. Słyszę go wyraźnie, stojąc tak na środku nawy, wsparty na rękojęści wilgotnej od potu, odwrócony od niego plecami, wpatrzony w miód odniebego blasku sączący się przez odległe drzwi. Tam, z tyłu – apokaliptyczni aniołowie pochylają się nad złożoną im krwawą ofiarą. Kaskada karminu na schodach. Żdźbło katany urągające śmierci swym lśnieniem. Gdybym spojrział, a nie spojrzę, dostrzegłbym wbite w siebie ślepie ofiary. Czemu go nie ciąłem w gardło, czemu nie pchnąłem w serce. Cholernie długo zdycha.

– On, który jest tobą bardziej niż tym sam, musiał wiedzieć... wiedział od początku, że nawet ci w głowie nie postanie, żeby się poświęcić, to ja byłem zbyt wielkim optymistą. A on wiedział i zgodził się, bo już wtedy... zaplanował to... od dawna chciał się mnie pozbyć; byłem zbyt zaślepiiony możliwością wyjścia, zbyt wiele nadziei... i strachu... Ty wiesz przecież: wszystko ma swoją cenę; wiesz, czego wymagał Samuraj, do czego musiałem się posunąć, by stać się nim. Zbyt wiele strachu... już tylko pragnąłem się wydostać. On to wykorzystał. Wiesz, ty wiesz najlepiej, jak jest okrutny i przewrotny... – śmieje się Samuraj. – Powinienem przewidzieć jego zdradę. Wykradł cię, darował świadomość, chronił pozorną nieśmiertelnością. Już wtedy byłem przegrany... On nigdy nie pragnął nas uratować. Więc stworzył sobie narzędzie, broń... sam mu ją wymyśliłem...jedyną broń, jaka mogłaby mnie pokonać... i pokonała. Och, myślałem: przecież nie możemy być takimi potworami; ale tu nie wystarczy dziesięciu sprawiedliwych... No, obróć się, konam, przyjemność ci to sprawia, prawda?... mnie sprawiało. Komu ja to mówię... jeszcze trochę i sięgniesz każdej komórki Allaha, ty morderco – znowu śmieje się, ciszej; coraz słabiej rozbrzmiewa jego głos. – Ale sięgniesz również osobowości każdego, kto przewinął się przez Irrehaare. Nawet cię przekląć nie mogę... abstrakcja, oto, czym jesteś... Boże, cóż to był za wspaniały plan...

Umarł z podziwem dla swego zabójcy na ustach.

Wyszedłem z kościoła nie odwracając się, nie patrząc za siebie. Wiedziałem, że ciało Samuraja nie zniknie.

### 33. Morderca

A tam miód, jasność, cisza, tam trupy. Oparłem się o kamiennego świętego, pochyliłem głowę; ciążyłem sobie, Niemoc była mi laską.

Zatem urodziłem się w Kongo, w wojennym pionie Samuraja, w Irrehaare, dnia i godziny nieznanego, nie istniejącej. Moją powłokę gracza upleciono z przypadku. Inkubator: od zgoty po człowieka, w nieświadomości, nieprzytomności, bezosobowości, bezwoli – mechanizm organiczny w i tak mechanicznej symulacji. Przeznaczono mi los naczynia, pułapki, w którą ściągnięta część Allaha, wstrząśnięta algorytmem mej śmierci, miała zablokować, zniszczyć system, tym samym uwalniając jego więźniów. Taki był pomysł Samuraja, doprawdy genialny. A nie mógł zostać zrealizowany bez współpracy samego Allaha. I Allah współpracował, a jakże. Lecz oto plan się wali. Blitzkrieg Nazgula – komando Alexa pod dowództwem i z inspiracji Santany – tej atrapowej marionetki Boga Irrehaare – zrównuje z ziemią placówkę Samuraja i porywa tajemniczego sklerotyka, który o świecie, a tym bardziej o sobie i swoim przeznaczeniu, nie wie nic. (Yerltvachovicić: „Ty możesz zadać sobie to pytanie: po co istniejesz?”). Jego ojciec, jego Bóg – wie natomiast wszystko: o tym, kim jest i kim będzie. Plecie się historia, uczy się Adrian, wypełnia Allahem ponad miarę i ponad Samurajowe zamierzenie. Samuraj zdesperowany; zdradziło go jego dziecko, pozbawiono nieszczęśnika możliwości wyjścia z piekła, do

którego na swe życzenie i za tak wysoką cenę zstąpił. Wciąż jednak żywi szaleńczą nadzieję na wyzwolenie – Allah o tym wie. Z kolei jego plan właśnie na tej na wskroś ludzkiej nadziei jest oparty; nawet nie musi Adriana specjalnie kształtować, po prostu pozwala mu stawać się tym, czym nigdy nie miał się stać. Samuraj tego nie widzi, ale to przecież z jego pomysłu powstał jedyny potencjalny przeciwnik, który może go pokonać – jego, który samego Allaha jego własną mechanicznością spętał i zniewolił. Samuraj cierpi. Cierpi przez swą potęgę, władzę, aczłowieczość, pragnie uwolnienia z Irrehaare – tu, gdzie musi grać rolę demona, staje się naprawdę tym demonem aż po ogień duszy. Śmierć Adriana, autokollaps systemu – zbawiłyby go, zbawiłyby wszystkich wślepionych. I Allah gra na najzdrowszych instynktach Samuraja, stawia na jego determinację, rozpacz i tęsknotę za samym sobą. Samuraj nie mógłby nie skorzystać z szansy. Wie, że teraz już tylko on jest w stanie zabić Adriana. Więc pojedynek – jak to pasuje do Irrehaare. Wybierz, mówi synowi Allah, wybierz, mówi mi. Znasz fakty. Proszę, poświęć się dla tych tysięcy. Lecz Allah wszak jest mną bardziej niż ja sam. Nie było wyboru. I nie było prawdy w przedstawionych faktach.

Allah, ten potwór, ten Szatan, nigdy nie miał zamiaru uwolnić swych przypadkowych więźniów! Kłamał, knuł i mordował. Dla władzy właśnie!

– Czy możesz mieć pretensje do maszyny? – pyta marmurowy Izajasz.

Myśli moje nie są moje.

– Już niedługo będziesz mówić o niej w pierwszej osobie – dodaje Paweł.

– Nie wiedziałeś, więc jesteś niewinny – rzecze Jeremiasz.

– Znałem tę cenę – tłumaczę się oskarżająco. – Przeczuwałem, domyślałem się, że za władzę zapłacił całkowitą jednością z postacią. Ta wiedza gdzieś we mnie była, przecież sam Santana – Santana! – posądzal mnie o taką zwrotność. Tylko nie chciałem o tym myśleć, kiedy tak gładko cięło mi się jego ciało, kiedy tak słodko lśniła jego krew...

– To Allah dokonał wyborów – szepcze Izajasz. Szepc jak jad.

– A Allah to trzy miliardy sześćset osiemdziesiąt dwa miliony osiemset jeden tysięcy sześćset trzydzieści siedem osobowości i pamięci homo sapiens.

– A Allah to ja – cedzę.

– Jeszcze nie.

– Jestem mordercą.

– Nikt nie ma obowiązku być męczennikiem. Z definicji wybór jest święty.

– To Irrehaare.

– Tu liczą się chęci.

– Nie czyny.

– To sen i ułuda.

– Nie istniejesz.

– Właśnie: tylko chęci, tylko chęci! Co z tego, że nie zdawałem sobie sprawy. Chciałem zabić. Jak zabiłem te wszystkie atrapy. Śmierć była w moich myślach. Może nie jestem człowiekiem, ale jestem mordercą!

– Nie możesz być mordercą.

– To kto, kto zabił Samuraja?

– Znasz odpowiedź.

– Nikt ci myśli nie pęta.

– Myśli są decyzjami.

– Irrehaare to myśli.

– To przekłete miejsce! Jeden wielki bezgrzeszny grzech!

– Nie czyn sobie wyrzutów. Takim cię stworzono.

- Mogłem się zabić!
- Nie mogłeś.
- Jesteś człowiekiem bardziej niż ci się wydaje.
- Jak mogę być człowiekiem; ja, który...
- Więc jak możesz być mordercą?
- Jesteś Bogiem.
- Jestem Diabłem!
- Tu różnicy nie ma.
- Zamknijcie się! Od tego można oszaleć!
- To monolog.

Tu, gdzie żaden czyn nie może zostać popełniony – ja popełniłem morderstwo. Ja: nie przedmiot, nie narzędzie, nie broń – miecz wszak nie cierpi.

Mógłbym podciąć sobie żyły. Oczywiście, nie zrobię tego – gdybym był do samobójstwa zdolny, nie urodziłbym się. Jednak na wszelki wypadek ja sam – Allah – zabezpieczyłem się przed sobą: te palce turlające się we krwi, święte kawałki obcego już mięsa, te palce. Choć znał mnie jak słowo nie wypowiedziane, on – ja – wszystkowiedzący – musiał się gdzieś tam dopatrzeć jakiejś iskielki litości, jakiegoś przebłysku heroizmu, czegoś, czego wypowiedzieć nie potrafił – i obciął mi palce. Jeden po drugim, tuż po „urodzeniu”, krwią nienawiści do człowieka naznaczył. Palce. Nie pokocham ludzi.

Spojrzałem: zasiadający miał moją twarz.

To Zewnątrz mego umysłu. Choroba.

Zamknąłem oczy – w nieważkości i myśli się lżej.

A jeśli – to wszystko jest megazaślepem, nielegalnym amnezycznym wożaczem po mych za ciężkie pieniądze rozszczepionych osobowościach?

A jeśli – Czarny Santana wciąż żyje, a mnie okłamano i to nie Allaha intryga, a ja po prostu krzywo się widzę?

A jeśli – istnieje jeszcze trzeci Gracz, ów właściciel Niemocy, co dziś nie chciała dobić Samuraja, a przeznaczony jest jej kiedyś mord wielki i święty? Czy to, co czuję, to schizofrenia? Do jakiego stopnia rozszczepiony jest Allah, jak obcy samemu sobie ja jestem? Jeśli to moje projekcje – to co czułem wówczas, podczas spotkania z Nieznajomym?

A jeśli – męczennik mówił prawdę i szczerze były intencje Allaha, a to ja, Adrian, zbyt słaby byłem, by wychylić ten kielich i łatwiej mi było po prostu zabić?

– A jeśli...

Nic, nic nie jednoznaczne. Nie tu.

Mimo wszystko – jestem człowiekiem. Choć czuję ostatnie bajty informacji wpadające w mą pamięć, niby fragmenty jakiejś wielowymiarowej układanki, mentalne puzzle. Choć czuję Irrehaare. Mimo Allaha. Mimo krwi. Muszę to sobie powiedzieć, wszak prawdziwe życie to nic innego jak jeszcze jedna gra, w owym nieznanym mi i niepoznawalnym meta-Irrehaare, estreneida, której nigdy nie zasmakuję; muszę to sobie powiedzieć: jestem człowiekiem.

Na imię mi Adrian.

Otwieram oczy.

– Adrianie.

*Jacek Dukaj*  
*sierpień – listopad 1993*

*W tekście wykorzystałem – bezczelnie przekręciwszy i pociąwszy – fragmenty wiersza Bolesława Leśmiana „Przemiany”, powieści Umberto Eco „Imię róży” oraz wiele innych wątków, motywów, scen, pomysłów i schematów – z utworów, których tytułów nierzadko już sam nie pamiętam.*

Opublikowano na Stronicach Dukaja (<http://dukaj.pl>)